



Książka jest refleksją o posłudze biskupiej opartej na wydarzeniach, jakie miały miejsce w życiu biskupa Karola Wojtyły, począwszy od 1958 r. Nie brak w niej także odniesień do czasów po 1978 roku, w których Ojciec Święty nawiązuje do swojej posługi apostolskiej. Niepowtarzalna atmosfera papieskich opowiadań sprawia, że książka staje się bliska dla wszystkich.

POKÓJ JEGO DUSZY.

wydawnictwo: św. STANISŁAWA BM, Maj 2004

Wstęp

Kiedy ukazała się książka *Dar i Tajemnica*, zawierająca wspomnienia i refleksje związane z początkami mojego kapłaństwa, dotarło do mnie wiele głosów, szczególnie od ludzi młodych, o jej serdecznym odbiorze. Jak słyszę, dla wielu z nich to bardziej osobiste dopowiedzenie do Adhortacji *Pastores dabo vobis* stało się cenną pomocą we właściwym rozeznaniu własnego powołania. Cieszę się z tego bardzo. Oby Chrystus nadal posługiwał się tamtymi rozważaniami, by wielu młodych usłyszało Jego zaproszenie: „Pójdźcie za Mną, a sprawię, że się staniecie rybakami ludzi” (Mk 1, 17).

Proszono mnie, bym także z okazji czterdziestej piątej rocznicy mojej sakry biskupiej i srebrnego jubileuszu posługi na Stolicy Piotrowej napisał ciąg dalszy tamtych wspomnień, rozpoczynając od 1958 roku, w którym zostałem biskupem. Uznałem, że trzeba przyjąć to zaproszenie, podobnie jak myśl o tamtej pierwszej książce. Dodatkowym motywem do zebrania i uporządkowania tych wspomnień i refleksji był proces powstawania dokumentu poświęconego posłudze biskupiej: *Adhortacji Pastores gregis*, w której przedstawiłem syntezę myśli, jakie zrodziły się podczas X Zwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów, które miało miejsce podczas Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Gdy przysłuchiwałem się ich wypowiedziom w auli, a potem sięgałem do tekstu propozycji, które mi przedstawili, budziło się we mnie wiele wspomnień związanych zarówno z latami, w których dane mi było służyć Kościołowi w Krakowie, jak i z nowymi doświadczeniami, jakie przeżywałem w Rzymie jako następca Piotra. Podjąłem próbę zapisania tych myśli, pragnąc podzielić się z innymi świadectwem o miłości Chrystusa, który przez wieki powołuje kolejnych następców Apostołów i za pomocą kruchych naczyń wlewa łaskę w serca braci. Temu wspomnianiu nieustannie towarzyszyły słowa św. Pawła skierowane do młodego biskupa Tymoteusza: „On nas wybawił i wezwał świętym powołaniem nie na podstawie naszych czynów, lecz stosownie do własnego postanowienia i łaski, która nam dana została w Chrystusie Jezusie przed wiecznymi czasami” (2 Tm 1,9). Zapis ten ofiarowuję Braciom w biskupstwie i całemu Ludowi Bożemu. Niech posłuży wszystkim, którzy pragną poznać wielkość posługi biskupiej, trud z nią związany, ale także radość, jaka codziennie towarzyszy jej wypełnianiu. Zapraszam wszystkich do wznoszenia ze mną *Te Deum* uwielbienia i dziękczynienia. Ze spojrzeniem utkwionym w Chrystusie, umocnieni nadzieją, która zawieść nie może, krocmy razem drogami nowego tysiąclecia: „Wstańcie, chodźmy!” (por. Mk 14, 42).

Część I

Powołanie

„Nie wyście Mnie wybrali, ale ja was wybrałem" (J 15, 16)

Źródło powołania

Szukam źródła mego powołania. Ono pulsuje tam... w jerozolimskim Wieczerniku. Dzięki składam Panu, że podczas Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 dane mi było modlić się właśnie tam, w górnej izbie (por. Mk 14, 15), w której odbyła się Ostatnia Wieczerza. Myślą przenoszę się do owego pamiętnego Czwartku, gdy Chrystus, umiłowawszy swoich aż do końca (por. J 13, 1), ustanowił Apostołów kapłanami Nowego Przymierza. Widzę Go schylającego się przed każdym z nas, następców Apostołów, by obmywać nam nogi. Słyszę, jakby mówił do mnie, do nas te słowa: „Czy rozumiecie, co wam uczyniłem? Wy Mnie nazywacie «Nauczycielem» i «Panem» i dobrze mówicie, bo nim jestem. Jeżeli więc Ja, Pan i Nauczyciel, umyłem wam nogi, to i wy powinniście sobie nawzajem umywać nogi. Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem" (J 13, 12-15).

Razem z Piotrem, Andrzejem, Jakubem, Janem... słuchamy dalej: „Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Trwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości. To wam powiedziałem, aby radość moja w was była i aby radość wasza była pełna. To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich. Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeżeli czynicie to, co wam przykazuję" (J 15, 9-14).

Czyż w tych słowach nie jest zawarte mysternum caritatis naszego powołania? Te Chrystusowe słowa, wypowiedziane w godzinie, na którą przyszedł (por. J 12, 27), są korzeniem każdego powołania w Kościele. Z tych słów wypływają ożywcze soki, które dają początek każdemu powołaniu: Apostołów i ich następców, podobnie jak powołaniu każdego człowieka, bo Syn pragnie być „przyjacielem" każdego: za wszystkich bowiem oddał swoje życie. To, co najważniejsze, najcenniejsze i najświętsze, spotyka się w tych słowach: miłość Ojca i miłość Chrystusa do nas, Jego i nasza radość, jak też nasza przyjaźń i wierność, która wyraża się w wypełnieniu przykazań. W tych słowach zawiera się także cel i sens naszego powołania: abyśmy szli i owoc przynosili, i aby owoc nasz trwał... (por. J 15, 16).

Ostatecznie miłość jest spoiwem wszystkiego: w sposób substancjalny jednoczy Osoby Boskie i jednoczy także, choć na inny sposób, ludzkie osoby i ich różnorodne powołania. Powierzyliśmy nasze życie Chrystusowi, który pierwszy nas umiłował i jako dobry Pasterz poświęcił swoje życie dla nas. Apostołowie Chrystusa usłyszeli te słowa i odnieśli je do siebie jako osobiste wezwanie. Podobnie i my, ich następcy, pasterze Kościoła Chrystusowego, nie możemy nie odczuwać potrzeby zaangażowania, byśmy jako pierwsi odpowiadali na tę miłość, w wierności, w wypełnianiu przykazań i w codziennym oddawaniu życia dla przyjaciół naszego Pana.

„Dobry pasterz daje życie swoje za owce” (J 10, 11). W homilii, którą wygłosiłem na Placu św. Piotra 16 października 2003 roku z okazji 25-lecia pontyfikatu, powiedziałem: „Apostołowie, słysząc te słowa Chrystusa, nie wiedzieli, że mówił o sobie. Nie wiedział nawet Jan, Jego umiłowany uczeń. Zrozumiał to dopiero na Kalwarii, u stóp krzyża, widząc, jak w milczeniu oddaje życie «za swoje owce». A gdy nadszedł dla niego oraz dla innych Apostołów czas, by podjęli tę misję, przypomnieli sobie Jego słowa. Zdawali sobie sprawę, że zadanie, które im powierzył, będą mogli wypełnić tylko dlatego, że On sam - jak zapewnił - będzie w nich działał”.

„Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by wasz owoc trwał” (J 15, 16). Nie wy, lecz Ja! - mówi Chrystus. Oto fundament skuteczności pasterskiej misji biskupa.

Wezwanie

Jest rok 1958. Jestem w pociągu jadącym w stronę Olsztyna z grupą kajakową. Zaczynamy program wakacyjny, który się przyjął od 1953 roku: część wakacji spędzaliśmy w górach, najczęściej w Bieszczadach, a część na jeziorach mazurskich. Naszym celem była rzeka Łyna. Dlatego właśnie - było to w lipcu - jesteśmy w pociągu jadącym do Olsztyna. Mówię do tak zwanego „admirala” - o ile pamiętam, był nim wówczas Zdzisław Heydel: „Zdzisiu, będę musiał wyłączyć się z kajaków, bo otrzymałem wezwanie od Księdza Prymasa (od śmierci kardynała Augusta Hlonda w roku 1948 był nim kardynał Stefan Wyszyński) i muszę się do niego zgłosić”.

Na to „admiral”: „Zrobi się”.

Tak też, kiedy nadszedł wyznaczony dzień, odbiliśmy od grupy, aby dotrzeć do najbliższej stacji kolejowej — do Olsztynka.

Wiedząc o konieczności stawienia się u Księdza Prymasa w czasie spływu na Łynie, przezornie zostawiłem w Warszawie u znajomych odświętną sutannę. Trudno było iść do Prymasa w tej, której używałem w czasie wypraw kajakowych (na wycieczki zawsze woziłem ze sobą sutannę i komplet ornatów, by odprawiać Mszę św.).

Tak więc naprzód ruszyliśmy kajakiem po falach rzeki, a potem ciężarówką, która wiozła wory z mąką, i tak dotarłem do Olsztyńska. Pociąg do Warszawy odchodził późno w nocy. Zabrałem więc ze sobą śpiwór, myśląc, że w oczekiwaniu na pociąg trochę się zdrzemnę i poproszę kogoś, żeby mnie obudził. Nie było jednak takiej potrzeby, bo wcale nie zasnąłem.

W Warszawie zgłosiłem się na ulicę Miodową na oznaczoną godzinę. Na miejscu stwierdziłem, że razem ze mną byli wezwani trzej inni księża: Ślęzak, ks. Wilhelm Pluta, proboszcz z Bochni w diecezji tarnowskiej ks. Michał Blecharczyk i ks. Józef Drzazga z Lublina. Z początku nie zwróciłem uwagi na ten zbieg okoliczności. Później zrozumiałem, że oni zostali wezwani w tym samym celu, co ja.

Kiedy wszedłem do gabinetu Ks. Prymasa, usłyszałem od niego, że Ojciec Święty mianował mnie biskupem pomocniczym arcybiskupa Krakowa. W lutym w tym samym roku (1958) zmarł ks. biskup Stanisław Rospond, który przez wiele lat był biskupem pomocniczym w Krakowie w czasie ordynariatu księcia metropolity kardynała Adama Stefana Sapięhy.

Słyszając słowa Ks. Prymasa zwiastujące mi decyzję Stolicy Apostolskiej, powiedziałem: „Eminencjo, ja jestem za młody, mam dopiero 38 lat”.

Ale Prymas na to: „To jest taka słabość, z której się szybko leczymy. Proszę się nie sprzeciwiać woli Ojca Świętego”.

Więc powiedziałem jedno słowo: „Przyjmuję”. „No, to pójdziemy na obiad”, zakończył Prymas.

Zaprosił nas wszystkich czterech na obiad. Wówczas dowiedziałem się, że ks. Wilhelm Pluta był mianowany biskupem z przeznaczeniem do Gorzowa Wielkopolskiego. Była to wówczas największa w Polsce administracja apostolska. Obejmowała Szczecin i Kołobrzeg, czyli jedną z najstarszych polskich diecezji, gdyż Kołobrzeg był erygowany w roku 1000, równocześnie z ustanowieniem metropolii gnieźnieńskiej, w skład której wchodziły biskupstwa: Kołobrzeg, Kraków i Wrocław. Ksiądz Józef Drzazga został mianowany biskupem pomocniczym w Lublinie (w późniejszych latach przeszedł do Olsztyna), a ksiądz Michał Blecharczyk biskupem pomocniczym w Tarnowie.

Po zakończeniu tej tak ważnej w moim życiu audiencji zrozumiałem, że nie mogę w tej chwili wracać do przyjaciół na kajaki; musiałem naprzód pojechać do Krakowa i zawiadomić ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, mojego ordynariusza. Oczekując na nocny pociąg do Krakowa, wiele godzin modliłem się w kaplicy sióstr urszulanek w Warszawie przy ulicy Wiślanej.

Ks. arcybiskup Baziak, metropolita lwowski obrządku łacińskiego, podzielił los wszystkich tzw. przesiedleńców: musiał opuścić Lwów. Zamieszkał w Lubaczowie, w tym skrawku archidiecezji lwowskiej, który został w granicach PRL po ustaleniach w Jałcie. Ksiązę Sapięha, arcybiskup krakowski, w ostatnim roku przed śmiercią prosił, żeby ks. arcybiskup Baziak, zmuszony przemocą opuścić swoją diecezję, był jego koadiutorem. Tak więc chronologicznie moje biskupstwo jest związane z tym tak doświadczanym hierarchą.

Następnego dnia zgłosiłem się zatem do księdza arcybiskupa Eugeniusza Baziaka na ulicę Franciszkańską 3 i wręczyłem mu list od Ks. Prymasa. Pamiętam jak dziś, że Arcybiskup wziął mnie pod rękę i wyprowadził do poczekalni, gdzie siedzieli księża, i powiedział: Habemus papam. W świetle późniejszych wydarzeń można powiedzieć, że były to słowa prorocze.

Mówię do Ks. Arcybiskupa, że pragnę wrócić na Mazury do opuszczonej grupy przyjaciół płynących kajakami na Łynie. Odpowiedział: „To już chyba nie wypada”.

Dosyć tym zmartwiony, poszedłem do kościoła franciszkanów i odprawiłem Drogę krzyżową przy stacjach malowanych przez Józefa Mehoffera. Chętnie tam chodziłem na Drogę krzyżową, bo te stacje są oryginalne, nowoczesne. Potem jeszcze raz wróciłem do arcybiskupa Baziaka ponawiając swoją prośbę. Powiedziałem: „Proszę jednak pozwolić mi, abym mógł wrócić na Mazury”.

Tym razem odpowiedział: „Bardzo proszę; bardzo proszę. Ale proszę - dorzucił z uśmiechem - wrócić na konsekrację”.

Zatem jeszcze tego wieczora wsiadłem znowu do pociągu w kierunku Olsztyna. Miałem przy sobie książkę Hemingwaya Stary człowiek i morze. Czytałem ją całą noc, jedynie na chwilę zapadając w drzemkę. Czułem się jakoś dziwnie...

Kiedy przyjechałem do Olsztyna, była w nim już moja grupa, która dobiła tam płynąc kajakami po rzece Łyna. „Admirał” wyszedł po mnie na stację i mówi mi: „I co, został Wujek biskupem?”

A ja na to, że tak. A on: „Zęby mnie..., tak sobie w duchu myślałem i tego Wujkowi życzyłem”.

Istotnie nie tak dawno, kiedy obchodziłem dziesięciolecie kapłaństwa, on życzył mi tego. W dniu nominacji biskupiej miałem niespełna dwanaście lat kapłaństwa. Spałem mało i kiedy dotarłem na miejsce, byłem zmęczony. Najpierw jednak, zanim poszedłem odpocząć, udałem się do kościoła, aby odprawić Mszę św. W kościele tym był wtedy duszpasterzem akademickim późniejszy biskup, ksiądz Ignacy Tokarczuk. Kiedy przespawszy się trochę, obudziłem się, okazało się, że wieść już się rozeszła, bo ksiądz Tokarczuk powiedział do mnie: „A, nowy biskup, gratuluję!”

Uśmiechnąłem się i poszedłem do grupy kajakowych przyjaciół. Gdy jednak siadłem do wiosła, było mi znów jakoś dziwnie. Uderzyła mnie zbieżność dat: datą nominacji, którą otrzymałem, był 4 lipca, a ten dzień jest rocznicą poświęcenia Katedry Wawelskiej. Jest to rocznica, którą zawsze nosiłem w sercu. Zdawało mi się, że ta zbieżność coś znaczy. Myślałem też, że może te kajaki są już ostatni raz. Potem jednak, muszę zaraz przyznać, okazało się, że jeszcze wiele razy pływałem, nabierając sił na kajaku na wodach rzek i jezior Mazowsza. Faktycznie, aż do 1978 roku.

Następca Apostołów

Po letnich wakacjach wróciłem do Krakowa i zaczęły się przygotowania do konsekracji wyznaczonej na dzień 28 września, dzień św. Wacława, patrona Katedry Wawelskiej. Ten patronat świadczy o historycznych powiązaniach ziem polskich z Czechami. Św Wacław był księciem czeskim, który zginął jako męczennik z rąk rodzonego brata. Również Czechy czczą go jako swego patrona. Zasadniczym przygotowaniem do moich święceń biskupich były rekolekcje. Odprawiłem je w Tyńcu. Często wędrowałem do tego historycznego opactwa. Tym razem był to pobyt szczególnie dla mnie ważny. Miałem zostać biskupem, byłem już nominatem. Do sakry miałem jeszcze dość dużo czasu, ponad dwa miesiące. Musiałem wykorzystać je jak najlepiej.

Rekolekcje trwały sześć dni - sześć dni medytacji. Mój Boże, ileż treści! „Następca Apostołów” - takie właśnie słowa w ciągu tych dni usłyszałem z ust znajomego fizyka. Jak widać, ludzie wierzący przywiązują szczególną wagę do tej apostolskiej sukcesji. Ja - „następca” - myślałem z wielką pokorą o Apostołach Chrystusa i o tym długim, nieprzerwanym łańcuchu biskupów, którzy przez włożenie rąk przekazywali swoim kolejnym następcom udział w urzędzie apostolskim. W końcu mieli przekazać

go mnie. Czułem się osobiście związany z każdym z nich. Wielu z tych, którzy poprzedzili w łańcuchu sukcesji nas, dzisiejszych biskupów, jest nam znanych z imienia. W wielu przypadkach także ich pasterskie dzieła są znane i upamiętnione. A nawet wtedy, kiedy owi dawni biskupi nie są nam już dzisiaj znani, ich biskupie powołanie i dzieło trwa - „by owoc wasz trwał” (J 15, 16). Dzieje się to także za sprawą nas, ich następców, którzy właśnie przez ich ręce jesteśmy związani mocą sakramentalnego znaku z Chrystusem, który wybrał ich i nas „przed założeniem świata” (Ef 1,4). Zdumiewający dar i tajemnica!

„Ecce sacerdos magnus, qui in diebus suis placuit Deo... Ideo iureiurando fecit illum Dominus crescere in plebem suam” - Oto kapłan wielki, który za dni swoich podobał się Bogu” - tak się śpiewa w liturgii. A przecież ten wielki i jedyny Kapłan nowego i wiecznego przymierza to sam Jezus Chrystus. Spełnił ofiarę swego kapłaństwa umierając na krzyżu, oddając życie swoje za owczarnię, za całą ludzkość. To On w przeddzień tej krwawej ofiary złożonej na krzyżu ustanowił sakrament Kapłaństwa podczas Ostatniej Wieczerzy. To On wziął w swoje ręce chleb i wypowiedział nad nim te słowa: „To jest Ciało moje, które za was będzie wydane na odpuszczenie grzechów”. To On potem, wzięwszy w swe ręce kielich wypełniony winem, wypowiedział nad nim słowa: „To jest Krew moja nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu zostanie wylana na odpuszczenie grzechów”. I w końcu dodał: „To czyńcie na moją pamiątkę”. Powiedział to wobec Apostołów, wobec tych Dwunastu, z których pierwszym jest Piotr. Do nich powiedział: „To czyńcie na moją pamiątkę”. W ten sposób ustanowił ich kapłanami na podobieństwo Jego samego, jedynego, wielkiego Kapłana Nowego Przymierza.

Może Apostołowie, uczestnicząc w Ostatniej Wieczerzy, nie od razu zrozumieli w pełni, co znaczą te słowa, które nazajutrz miały się spełnić, gdy ciało Chrystusa zostało rzeczywiście wydane na śmierć krzyżową, a krew Jego została przelana na Krzyżu. Być może wtedy rozumieli jedynie, że mieli powtarzać ryt Wieczerzy z chlebem i winem. Dzieje Apostolskie powiedzą potem, że pierwsi chrześcijanie po wydarzeniach paschalnych trwali na łamaniu chleba i na modlitwie (por. 2, 42). Wtedy jednak znaczenie tego rytu było już dla wszystkich jasne.

W liturgii Kościoła Wielki Czwartek jest dniem, w którym wspomina się Ostatnią Wieczerzę, ustanowienie Eucharystii. Z jerozolimskiego Wieczernika sprawowanie Eucharystii stopniowo rozniosło się na cały ówczesny świat. Najpierw przewodniczyli jej Apostołowie w Jerozolimie. Później, w miarę jak Ewangelia się rozszerzała, sprawowali ją — oni sami i ci, na których „wkładali ręce” - na coraz to nowych miejscach, poczynając od Azji Mniejszej. A wreszcie wraz ze św. Piotrem i św. Pawłem Eucharystia dotarła do Rzymu, który był stolicą ówczesnego świata. Po wiekach dotarła nad Wisłę.

Pamiętam, że podczas rekolekcji przed święceniami biskupimi w sposób szczególny dziękowałem Bogu właśnie za to, że Ewangelia i Eucharystia dotarły nad Wisłę, że dotarły także do Tyńca. Opactwo Tynieckie pod Krakowem, którego początki datują się na wiek XI, było istotnie miejscem właściwym, aby przygotować się do przyjęcia święceń w Katedrze Wawelskiej. W roku 2002, podczas wizyty w Krakowie, przed moim odlotem do Rzymu udało mi się odwiedzić, choć bardzo krótko, Tyniec. Było to swoiste spłacenie osobistego długu wdzięczności. Dużo zawdzięczam Tyńcowi. Prawdopodobnie nie tylko ja, ale i cała Polska.

Zbliżał się powoli dzień 28 września 1958 r. Zanim zostałem wyświęcony, wystąpiłem oficjalnie jako biskup nominat w Lubaczowie z okazji srebrnego jubileuszu biskupstwa arcybiskupa Baziaka. Był to dzień Matki Boskiej Bolesnej, który we Lwowie obchodzono 22 września. Byłem tam razem z dwoma biskupami z Przemyśla: ks. biskupem Franciszkiem Barda i ks. biskupem Wojciechem Tomaką - obaj sędziwi starcy, a ja między nimi młodzik 38-letni. Dziwnie się czułem. Tam właśnie odbyły się moje pierwsze „przymiary” do biskupstwa. A tydzień później była konsekracja na Wawelu.

Wawel

Jest we mnie od dziecka szczególne przywiązanie do Katedry Wawelskiej. Nie pamiętam, kiedy byłem tam pierwszy raz, ale odkąd tam zacząłem bywać, czułem się szczególnie zauroczony i osobiście związany z tą katedrą. W jakiś sposób Wawel zawiera całe dzieje Polski. Przeżyłem tragiczny czas, kiedy hitlerowcy osadzili tam swego gubernatora Franka i nad zamkiem powiewał

sztandar ze swastyką. To było dla mnie szczególnie bolesne przeżycie. Nadszedł jednak dzień, w którym ten sztandar ze swastyką zniknął i wróciły godła polskie. Obecna katedra jest z czasów króla Kazimierza Wielkiego. Mam stale przed oczyma wszystkie miejsca tej świątyni z jej pomnikami. Wystarczy przejść przez nawę główną i nawy boczne, aby zobaczyć sarkofagi polskich królów. A kiedy się zejdzie do krypty wieszczów, napotykamy na groby Mickiewicza, Słowackiego, a ostatnio Norwida.

Jak wspominałem w książce *Dar i Tajemnica*, bardzo pragnąłem swoją pierwszą Mszę św. odprawić na Wawelu w krypcie św. Leonarda w podziemiach katedry, i tak też się stało. Z pewnością to pragnienie zrodziło się z głębokiej miłości, jaką darzyłem wszystko to, co niosło w sobie ślady mojej Ojczyzny. Jest mi drogie to miejsce, w którym każdy kamień mówi o Polsce, o polskiej wielkości. Kiedy byłem ostatnio w Krakowie również poszedłem na Wawel i tam modliłem się przed grobem św. Stanisława. Nie mogło zabraknąć nawiedzenia tej katedry, która gościła mnie przez dwadzieścia lat.

Najdroższym dla mnie miejscem w Wawelskiej Katedrze jest krypta św. Leonarda. Jest to część dawnej katedry, z czasów króla Bolesława Krzywoustego. Sama krypta jest świadkiem jeszcze dawniejszych czasów. Pamięta bowiem pierwszych biskupów z początków XI wieku: tu zaczyna się genealogia krakowskiego episkopatu. Ci pierwsi biskupi noszą tajemnicze imiona Prokop i Prokulf, jakby pochodzenia greckiego. Stopniowo pojawiają się coraz to nowe imiona, coraz częściej już słowiańskie, jak Stanisław ze Szczepanowa, który został biskupem krakowskim w 1072 roku. W roku 1079 został zgładzony przez wysłanników króla Bolesława Śmiałego. A potem tenże król musiał uchodzić z kraju i prawdopodobnie jako pokutnik skończył życie w Osjaku. Kiedy zostałem metropolitą krakowskim, to wracając z Rzymu do Krakowa, w Osjaku odprawiłem Mszę św. Tam też powstał poetycki zapis tego faktu sprzed stuleci: napisałem wiersz zatytułowany Stanisław.

Święty Stanisław, „Ojciec ojczyzny”. W niedzielę po 8 maja idzie wielka procesja z Wawelu na Skałkę. Przez całą drogę ludzie śpiewają pieśni przeplatane antyfoną: „Święty Stanisławie, patronie nasz, módl się za nami”. Procesja schodzi z Wawelu, przechodzi ulicami Stradom i Krakowską na Skałkę, gdzie jest sprawowana Msza św, której zwykle przewodniczy zaproszony biskup. Po Mszy św. procesja wraca tą samą drogą do katedry, a niesione podczas niej we wspinałym relikwiarzu relikwie głowy św. Stanisława zostają złożone na ołtarzu. O świętości tego biskupa od początku byli przekonani Polacy i bardzo gorliwie zabiegali o jego kanonizację, która odbyła się w Asyżu w XIII wieku. W tym umbryjskim mieście do dziś zachowały się freski przedstawiające św. Stanisława.

Obok konfesji św. Biskupa Stanisława bezcennym skarbem Katedry Wawelskiej jest grób świętej Królowej Jadwigi. Jej relikwie zostały złożone pod słynnym krzyżem wawelskim w roku 1987 przy okazji mojej trzeciej pielgrzymki do Ojczyzny. U stóp tego krzyża dwunastoletnia Jadwiga podjęła decyzję o

małżeństwie z księciem litewskim Władysławem Jagiełłą. Ta decyzja w 1386 r. wprowadziła Litwę do rodziny narodów chrześcijańskich.

Ze wzruszeniem wspominam dzień 8 czerwca 1997 r., gdy na Błoniach w Krakowie, podczas kanonizacji, zacząłem homilię słowami: „Długo czekałaś, Jadwigo, na ten dzień, (...) prawie 600 lat”. Złożyły się na to różne okoliczności, o których trudno teraz mówić. Od dawna żywiłem pragnienie, aby Pani Wawelska mogła cieszyć się tytułem świętej w znaczeniu kanonicznym, urzędowym, i w tym dniu to się spełniło. Dziękowałem Bogu, że dane mi było po tylu stuleciach wypełnić to pragnienie, które pulsowało w sercach całych pokoleń Polaków.

Wszystkie te wspomnienia w jakiś sposób łączą się z dniem mojej konsekracji. Było to poniekąd historyczne wydarzenie. Poprzednie święcenia biskupie na Wawelu odbyły się w odległym 1926 roku. Był wtedy konsekrowany ks. biskup Stanisław Ro-spond. A teraz ja.

Dzień konsekracji: Pośrodku Kościoła

I tak nadszedł dzień 28 września, wspomnienie św. Wacława. Na ten dzień były wyznaczone moje święcenia biskupie. Mam to wielkie wydarzenie wciąż przed oczyma. Powiedziałbym, że wtedy jeszcze liturgia była bogatsza aniżeli dzisiaj. Pamiętam poszczególne osoby, które brały w niej udział. Był taki obrzęd symboliczny niesienia darów, które otrzymywał kon-sekrator. Beczułkę z winem i bochen chleba nieśli moi koledzy: Zbyszek Siłkowski, kolega z gimnazjum, i dziś sługa Boży Jurek Ciesielski, a w drugiej parze Marian Wójtowicz i Zdzisław Hey-del. Chyba był też Stanisław Rybicki. Najbardziej czynny był jednak ks. Kazimierz Figlewicz. Dzień był pochmurny, ale na końcu zaświeciło słońce. Jakby dobry znak, promyk słońca padł na tego biednego konsekrowanego.

Po odczytaniu Ewangelii chór śpiewał: Veni Creator Spiritus, I mentes tuorum visita: / imple superna gratia, / quae tu creasti pectora... Wsłuchiwałem się w ten śpiew i znowu, jak podczas święceń kapłańskich, a może z jeszcze większą wyrazistością, budziła się we mnie świadomość, że to przecież Duch Święty jest sprawcą konsekracji. To było pociechą i umocnieniem wobec wszelkich ludzkich obaw, jakie wiążą się z podejmowaniem tak wielkiej odpowiedzialności. Ta myśl budziła w mej duszy wielką ufność: Duch Święty oświeci, wzmocni, pocieszy, pouczy... Czy nie taką obietnicę złożył Chrystus swoim Apostołom?

W liturgii następuje szereg czynności symbolicznych, a każda z nich ma swoje znaczenie. Konsekrator stawia pytania, które dotyczą wiary i życia. Ostatnie pytanie brzmi: „Czy chcesz modlić się nieustannie za lud tobie powierzony i wiernie wypełniać posługę biskupią?” A kandydat odpowiada: „Chcę z Bożą pomocą”. I wtedy konsekrator dopowiada: „Ten, który rozpoczął w tobie dobre dzieło, niech go dokona”. I znowu pojawiła się ta myśl ufna i uspokajająca: Pan

rozpoczyna swe dzieło w tobie; nie lękaj się, powierz Mu swą drogę, a On sam będzie działał i swego dzieła dokona (por. Ps 37[36], 5).

Przy wszystkich święceniach (diakoniat, kapłaństwo i sakra biskupia) kandydat leży krzyżem na posadzce. Jest to znak całkowitego oddania siebie Chrystusowi - Temu, który po to, by spełnić swoją kapłańską misję, „ogłosił samego siebie, przyjąwszy postać sługi (...) uniżył samego siebie, stając się posłusznym aż do śmierci - i to śmierci krzyżowej” (Flp 2, 7-8). Ta postawa powraca każdego Wielkiego Piątku, gdy kapłan przewodniczący wspólnocie liturgicznej pada na twarz w milczeniu. Tego dnia w świętym Triduum nie odprawia się Mszy świętej: Kościół łączy się we wspomnieniu Pasji Chrystusa, poczynając od Jego agonii w Ogrójcu, gdy również On modlił się leżąc na ziemi. Wtedy w duszy celebransa z całą mocą brzmi Jego prośba: „Zostańcie tu i czuwajcie ze Mną...” (Mt 26, 38).

Pamiętam ten moment, kiedy leżałem krzyżem na posadzce, a zebrani śpiewali Litanie do Wszystkich Świętych. Konsekrator wzywał zebranych: „Błagajmy, najmilsi, wszechmogącego Boga, aby temu wybranemu hojnie udzielił łaski dla dobra swojego Kościoła”. A potem rozpoczął się śpiew litanii:

Panie, zmiłuj się nad nami. Chryste, zmiłuj się...

Święta Maryjo, Matko Boża,

Święty Michale,

Święci Aniołowie Boży... módlcie się za nami!

Szczególny kult mam do Anioła Stróża. Od dziecka, jak pewnie wszystkie dzieci, wiele razy modliłem się: „Anie/e Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój... bądź mi zawsze ku pomocy, strzeż duszy, ciała mego...” Mój Anioł Stróż wie, co robię. Moja wiara w niego, w jego opiekuńczą obecność stale się we mnie pogłębia. Św. Michał, św. Gabriel, św. Rafał to Archaniołowie, których często na modlitwie przyzywam. Wspominam też najpiękniejszy traktat św. Tomasza o aniołach, czystych duchach.

Święty Janie Chrzcicielu,

Święty Józefie,

Święci Piotrze i Pawle,

Święty Andrzeju...

Święty Karolu... módlcie się za nami!

Jak wiadomo, zostałem wyświęcony na kapłana w dniu Wszystkich Świętych. Dzień ten zawsze stanowi dla mnie największe osobiste święto. Z Bożej dobroci dane mi jest obchodzić rocznicę święceń kapłańskich w dniu, w którym Kościół wspomina mieszkańców nieba. To oni z wysokości wstawiają się za wspólnotą Kościoła, aby umacniała się jej jedność dzięki działaniu Ducha Świętego, który uzdalnia ją do praktykowania braterskiej miłości: „Bo jak wzajemna komunika chrześcijańska między pielgrzymami prowadzi nas coraz bliżej do Chrystusa, tak obcowanie ze świętymi łączy nas z Chrystusem, z którego, jako ze Źródła i Głowy, wypływa wszelka łaska i życie Ludu Bożego” (Lumen gentium, 50).

Po litanii konsekrowany wstaje i podchodzi do konsekratora, a ten wkłada na niego ręce. Jest to zasadniczy gest, który zgodnie z tradycją sięgającą Apostołów oznacza przekazanie Ducha Świętego. Potem obaj współkonsekrujący także wkładają ręce na głowę kandydata. Następnie celebrans i współkonsekratorzy wypowiedzą modlitwę konsekracyjną. Tak właśnie dopełni się kluczowy moment święceń biskupich. Trzeba tu przypomnieć słowa z soborowej Konstytucji *Lumen gentium*: „Aby wypełnić tak wielkie zadanie, Apostołowie zostali ubogaceni przez Chrystusa specjalnym wylaniem Ducha Świętego zstępującego na nich (por. Dz 1,8; 2, 4; J 20, 22n), sami zaś przekazali dar duchowy swoim pomocnikom przez nałożenie na nich rąk (por. 1 Tm 4, 14; 2 Tm 1, 6n); dar ten jest przekazywany aż do nas w święceniach biskupich. (...) Z tradycji bowiem, która ujawnia się szczególnie w obrzędach liturgicznych i w praktyce Kościoła, zarówno wschodniego, jak zachodniego, widać wyraźnie, że przez włożenie rąk i przez słowa święceń tak udzielana jest łaska Ducha Świętego, i święte znamię tak jest wyciskane, iż biskupi w sposób szczególny i widoczny podejmują rolę samego Chrystusa Nauczyciela, Pasterza i Kapłana i działają w Jego osobie" (n. 21).

Konsekratorzy

Nie mogę nie wspomnieć tu osoby głównego konsekratora, którym był arcybiskup Eugeniusz Baziak. Wspomniałem już skomplikowaną historię jego życia i biskupiego posługiwania. Niemałe znaczenie ma dla mnie jego biskupie pochodzenie, skoro to on właśnie był dla mnie pośrednikiem w sukcesji apostoelskiej. Konsekrował go arcybiskup Bolesław Twardowski. Jego z kolei konsekrował arcybiskup Józef Bilczewski, którego dane mi było niedawno beatyfikować we Lwowie na Ukrainie. Bilczewski zaś był konsekrowany przez kardynała Jana Puzynę, biskupa krakowskiego, a współkonsekrującymi byli święty Józef Sebastian Pelczar, biskup przemyski, i sługa Boży Andrzej Szepetycki, arcybiskup greckokatolicki. Czy to nie zobowiązuje? Czy mogłem nie brać pod uwagę tej tradycji świętości wielkich pasterzy Kościoła?

Współkonsekratorami byli: biskup Franciszek Jop z Opola i biskup Bolesław Kominek z Wrocławia. Wspominam ich z wielkim szacunkiem i uznaniem. Biskup Jop był w Krakowie człowiekiem opatrnościowym w czasie stalinizmu. Arcybiskup Baziak był wtedy odosobniony, a on został naznaczony jako wikariusz kapitulny w Krakowie. Dzięki niemu Kościół w tym mieście przetrwał bez większych uszczerbków ciężką próbą czasu.

Również biskup Bolesław Kominek był związany z Krakowem. W okresie stalinowskim, gdy był już biskupem, władze komunistyczne zakazały mu objęcia diecezji. Wówczas osiadł w Krakowie jako infułat. Potem, gdy było to już możliwe, mógł kanonicznie objąć biskupstwo wrocławskie, a w 1965 roku został

mianowany kardynałem. To byli wielcy ludzie Kościoła, którzy w trudnych czasach dali świadectwo osobistej wielkości oraz wierności Chrystusowi i Ewangelii. Jak nie brać pqd uwagę tej bohaterskiej spuścizny duchowej?

Gesty liturgii konsekracji

Moje myśli podążają za wspomnieniem innych ważnych gestów liturgicznych. Należy do nich najpierw włożenie na barki księgi Ewangelii, podczas gdy śpiewa się specjalną modlitwę konsekracyjną. To połączenie znaku i słów jest szczególnie wymowne. Pierwsze wrażenie kieruje myśl w stronę ciężaru odpowiedzialności biskupa za Ewangelię, wagi Chrystusowego wezwania, by po wszystkie krańce ziemi nieść ją i głosić, i dawać świadectwo własnym życiem. Jeśli jednak wniknąć głębiej w wymowę tego znaku, objawia się prawda, że to, co właśnie się dokonuje, z Ewangelii się wywodzi, w niej ma swoje korzenie. Ten, który otrzymuje sakrę biskupią, może więc zawsze czerpać siłę i natchnienie z tej świadomości. Właśnie w świetle Dobrej Nowiny o zmartwychwstaniu Chrystusa stają się czytelne i skuteczne słowa modlitwy: „Effunde super hunc Ełec-tum eam yirtutem, quae a te est, Spiritum principalem, quem dedisti dilecto Filio tuo Iesu Christo, quem ipse donavit sanctis Apostolis... Teraz, Boże, wylej na tego wybranego pochodzącą od Ciebie moc, Ducha Świętego, który włada i kieruje, którego dałeś Twojemu umiłowanemu Synowi, Jezusowi Chrystusowi, On zaś dał go świętym Apostołom...” (Pontyfikat rzymski, Modlitwa konsekracyjna).

Z kolei w liturgii konsekracji dokonuje się namaszczenia Krzyżmem świętym. Ten gest jest głęboko zakorzeniony w poprzednich sakramentach, począwszy do Chrztu i Bierzmowania. Przy udzielaniu sakramentu święceń kapłańskich namaszcza się ręce, przy biskupich zaś głowę. Jest to również gest mówiący o przekazaniu Ducha Świętego, który od wewnątrz przenika, bierze w posiadanie i czyni swoim narzędziem człowieka namaszczonego. To namaszczenie głowy oznacza powołanie do nowych zadań: biskup podejmie w Kościele zadanie kierowania, a ono go pochłonie dogłębnie. Również to namaszczenie Duchem Świętym ma to samo źródło: Jezusa Chrystusa — Mesjasza.

Imię Chrystus jest greckim tłumaczeniem hebrajskiego terminu „mašijah - mesjasz”, co znaczy „namaszczone”. W Izraelu namaszczano w imię Boże tych, którzy zostali przez Niego wybrani do pełnienia szczególnej misji. Mogła to być misja prorocka, kapłańska lub królewska. Jednak określenie „mesjasz” odnoszono przede wszystkim do tego, który miał przyjść, by ustanowić ostatecznie Boże Królestwo, w którym miały się wypełnić obietnice zbawienia. Właśnie on miał być „namaszczone” Duchem Pańskim jako prorok, kapłan i król. Określenie Namaszczone - Chrystus stało się imieniem własnym Jezusa, bo w Nim doskonale wypełniło się Boskie posłanie, które to pojęcie oznacza.

Ewangelia nie wspomina, aby Jezus kiedykolwiek był namaszczony w sposób zewnętrzny, jak w Starym Testamencie Dawid czy Aaron, po którego brodzie spływał wyborny olej (por. Ps 133[132],2). Jeżeli mówimy o Jego „namaszczeniu”, to mamy na myśli bezpośrednio namaszczenie Duchem Świętym, którego znakiem i świadectwem jest doskonale wypełnienie przez Jezusa posłania, jakie Ojciec Mu powierzył. Pięknie ujął to św. Ireneusz biskup: „W imieniu Chrystusa kryje się Ten, który namaścił, Ten, który został namaszczony, i samo namaszczenie, którym został namaszczony. Tym, który namaścił, jest Ojciec; Tym, który został namaszczony, jest Syn; a został namaszczony w Duchu, który jest Namaszчением” (Adversus haereses, III, 18, 3).

Przy narodzeniu Jezusa aniołowie ogłaszają pasterzom: „Dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan” (Łk 2, 11). Mesjasz, to znaczy namaszczony. Wraz z nim rodzi się powszechne, mesjańskie i zbawienne namaszczenie, w którym uczestniczą wszyscy ochrzczeni, i to namaszczenie szczególne, w którym On, Mesjasz, zechciał dać udział biskupom i kapłanom, wybranym do apostolskiej odpowiedzialności za Jego Kościół. Święty olej Krzyżma, znak mocy Bożego Ducha, spłynął na nasze głowy, włączając nas w mesjańskie dzieło zbawienia, a razem z tym namaszчением przyjęliśmy w jakościowo specyficzny sposób potrójne zadanie: prorockie, kapłańskie i królewskie.

Krzyżmo

Dziękuję Panu za pierwsze namaszczenie Krzyżmem świętym, które otrzymałem w moich rodzinnych Wadowicach. Miało ono miejsce podczas Chrztu. Przez to sakramentalne obmycie wodą wszyscy jesteśmy usprawiedliwieni i wszczępieni w Chrystusa. Otrzymujemy też po raz pierwszy dar Ducha Świętego. Właśnie namaszczenie Krzyżmem jest znakiem wylania tego Ducha, który daje nowe życie w Chrystusie i uzdalnia nas do życia w Bożej sprawiedliwości. Nasze pierwsze namaszczenie dopełniła pieczęć Ducha Świętego w sakramencie Bierzmowania. Głęboki, bezpośredni związek tych sakramentów zachował się w liturgii Chrztu osób dorosłych. Kościoły Wschodnie zachowały ten bezpośredni związek również przy udzielaniu Chrztu dzieciom, które wraz z pierwszym sakramentem otrzymują również Bierzmowanie.

Związek tych dwu pierwszych sakramentów oraz najświętszej tajemnicy Eucharystii z powołaniem kapłańskim i biskupim jest tak mocny i głęboki, że wciąż na nowo możemy wdzięcznym sercem odkrywać jego bogactwo. My biskupi nie tylko mamy udział w tych sakramentach, ale jesteśmy posłani, aby chrzcić, aby gromadzić Kościół przy Stole Pańskim i aby umacniać uczniów Chrystusa znamieniem Ducha Świętego w sakramencie Bierzmowania. Biskup,

sprawując swoją posługę, ma tak wiele okazji, by sprawować ten sakrament, znacząc olejem świętego Krzyżma różne osoby i przekazując im dar Ducha Świętego, który jest źródłem życia w Chrystusie.

W wielu miejscach podczas święceń można usłyszeć śpiew wiernych: „Ludu kapłański, Ludu królewski, zgromadzenie święte, Ludu Boży, śpiewaj twemu Panu!” Lubię tę pieśń o głębokiej treści:

„Tobie śpiewamy, o Synu umiłowany Ojca!

Uwielbiamy Cię, Mądrości przedwieczna, żywe Słowo Boga.

Tobie śpiewamy, jedyny Synu Maryi Panny,

Uwielbiamy Cię, o Chryste, nasz Bracie,

Tyś nas przyszedł zbawić.

Tobie śpiewamy, Mesjaszu, przyjęty przez ubogich,

Uwielbiamy Cię, o Chryste, nasz Królu

cichy i pokorny

(...)

Tobie śpiewamy, o Winny Szczepie przez Ojca dany,

Uwielbiamy Cię, o Krzewie Ożywczy,

my, Twe latorośle”.

Wszystkie powołania rodzą się w Chrystusie i to właśnie wyraża za każdym razem namaszczenie tym samym Krzyżmem: od Chrztu świętego aż po namaszczenie głowy biskupa. Stąd właśnie płynie wspólna godność wszystkich chrześcijańskich powołań. Z tego punktu widzenia wszystkie one są sobie równe. Różnice wynikają natomiast z miejsca, które Chrystus daje każdemu powołanemu we wspólnocie Kościoła oraz z płynącej stąd odpowiedzialności. Trzeba przykładąć wielką wagę, aby nic nie zginęło (por. J 6, 12): żeby nie zmarnowało się żadne powołanie, bo przecież każde jest cenne i potrzebne. Za każde z nich życie swoje dał Dobry Pasterz (por. J 10, 11). To jest właśnie odpowiedzialność biskupa. Musi on wiedzieć, że jest jego zadaniem robić wszystko, żeby w Kościele mogło się znaleźć i spełnić każde powołanie, każde wybranie człowieka przez Chrystusa - także to zwane najmniejszym. Dlatego biskup, tak jak Chrystus, woła, gromadzi, uczy, zbiera przy stole Ciała i Krwi Pana. Zarazem kieruje i służy. Ma być wierny Kościołowi, to znaczy każdemu z jego członków, nawet najmniejszemu, którego Chrystus powołał i z którym się utożsamia (por. Mt 25, 45). Na znak tej wierności biskup otrzymuje pierścień.

Pierścień i racjonął

Włożenie pierścienia oznacza, że biskup jest zaślubiony Kościołowi. „Accipe anulum, fidei signaculum - Przyjmij pierścień, znak wierności, i zachowaj nienaruszoną wiarę. Strzeż od skażenia Bożą Oblubienicę, to jest Kościół

święty". „Esto fidelis usque ad mortem... - wezwanie z księgi Apokalipsy - Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia" (2, 10). Szczególnym symbolem związku biskupa z Kościołem jest ten pierścień - znak zaślubin. Dla mnie jest on codziennym przypomnieniem o wierności. Jest niejako niemyim pytaniem, które odzywa się w sumieniu: czy jestem całkowicie oddany mojej Oblubienicy - Kościołowi? Czy jestem wystarczająco „dla" - dla wspólnot, rodzin, dla ludzi młodych i starszych, a także tych, którzy dopiero mają się narodzić? Pierścień przypomina mi też o potrzebie bycia mocnym „ogniwem" w łańcuchu sukcesji, który łączy mnie z Apostołami. A wytrzymałość łańcucha mierzy się przecież najslabszym ogniwem. Muszę być mocnym ogniwem, mocnym siłą Bożą: „Pan moją mocą i tarczą" (Ps 28 [27], 7). „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska dodają mi otuchy" (Ps23[22],4).

Biskupi krakowscy mają specjalny przywilej, który, jak mi się zdaje, obejmuje tylko cztery diecezje na świecie. Mianowicie mają prawo nosić tak zwany „racjonał". W jego formie jest to znak przypominający palusz. W Krakowie jest w skarbcu na Wawelu racjonał — dar królowej Jadwigi. Sam w sobie ten znak nic nie mówi. Przemawia dopiero, gdy racjonał włoży arcybiskup. Oznacza wtedy jego władzę i posługę - właśnie dlatego, że ma władzę, musi służyć. Jest to poniekąd symbol męki Chrystusa i wszystkich męczenników. Kiedy go zakładałem, wielokrotnie przychodziły mi na myśl słowa już podeszłego w latach apostoła Pawła do jeszcze młodego biskupa Tymoteusza: „Nie wstydz się zatem świadectwa Pana naszego ani mnie, Jego więźnia, lecz weź udział w trudach i przeciwnościach znoszonych dla Ewangelii mocą Bożą!" (2 Tm 1,8).

„Strzeż depozytu" (1 Tm 6, 20)

Po modlitwie konsekuracyjnej rytuał przewiduje przekazanie konsekrowanemu księgi Ewangelii. Ten gest wskazuje, że biskup ma Dobrą Nowinę przyjąć i głosić. Jest on znakiem obecności w Kościele Jezusa Nauczyciela.

Oznacza to, że nauczanie należy do istoty powołania biskupa: ma być nauczycielem. Wiemy, jak wielu wybitnych biskupów, od starożytności po dzisiejsze czasy, w sposób przykładowy sprostalo temu wezwaniu. Jako skarb brali sobie do serca roztropne ostrzeżenie apostoła Pawła: „O, Tymoteuszu, strzeż depozytu [wiary], unikając światowej, czczej gadaniny i przeciwstawnych twierdzeń fałszywej wiedzy" (1 Tm 6, 20). Byli dobrymi nauczycielami, bo skupili całe swoje życie duchowe wokół słuchania i głoszenia Słowa. To znaczy, że potrafili porzucić słowa niepotrzebne, żeby z całej mocy trwać przy tym jednym, którego potrzeba (por. Łk 10, 42).

Być sługą Słowa to jest zadanie biskupa. Właśnie jako nauczyciel zasiada on na katedrze - na tym krześle, umieszczonym w wymowny sposób w kościele, który

od niego bierze nazwę: „katedra” - żeby nauczać, głosić i objaśniać słowo Boże. Nasze czasy postawiły biskupom nauczającym nowe wymagania, ale też dały im nowe wsporniki, z pomocą których mogą głosić Ewangelię. Łatwość przemieszczania się pozwala biskupom często odwiedzać różne kościoły i wspólnoty własnej diecezji. Mamy do dyspozycji radio, telewizję, internet, słowo drukowane. W głoszeniu słowa Bożego wspomagają swoich biskupów kapłani i diakoni, katecheci i nauczyciele, wykładowcy teologii, a także coraz liczniejsi wykształceni i wierni Ewangelii ludzie świeccy.

A jednak nic nie może zastąpić obecności biskupa, który zasiada na katedrze albo staje na ambonie swojego biskupiego kościoła i osobiście wykląda słowo Boże tym, których wokół siebie zgromadził. I on, jak „uczony w Piśmie, który stał się uczniem królestwa niebieskiego, podobny jest do ojca rodziny, który ze swego skarbca wydobywa rzeczy nowe i stare” (Mt 13, 52). Chcę tu wspomnieć emerytowanego arcybiskupa Mediolanu kardynała Carla Marię Martiniego, którego katechezy głoszone w katedrze mediolańskiej gromadziły rzesze ludzi, przed którymi odkrywał skarb słowa Bożego. To tylko jeden z wielu przykładów, który dowodzi jak wielki jest w ludziach głód żywego słowa. Jakże ważne jest, żeby ten głód był zaspokojony!

Zawsze towarzyszyło mi to przekonanie, że jeśli mam zaspokajać głód słowa Bożego, trzeba, abym sam - wzorem Maryi - najpierw słuchał tego słowa i rozważał je w sercu (por. Łk 2, 19). Równocześnie coraz lepiej rozumiałem, że biskup musi umieć słuchać ludzi, którym głosi Dobrą Nowinę. Wobec dzisiejszego zalewu słów, obrazów i dźwięków, ważne jest, aby biskup nie dał się ogłuszyć. Musi słuchać Boga i słyszeć innych, w przekonaniu, że wszyscy jesteśmy złączeni tą samą tajemnicą Bożego słowa o zbawieniu.

Mitra i pastorał

Powołanie biskupa z pewnością jest wielkim wyróżnieniem. Nie oznacza to jednak, że kandydat został wybrany spośród wielu jako wybitny człowiek i chrześcijanin. Biskup zostaje wyróżniony przez to, że jego powołaniem jest stanąć pośrodku Kościoła i być pierwszym w wierze, pierwszym w miłości, pierwszym w wierności i pierwszym w służbie. Jeżeli ktoś widzi w biskupstwie tylko wyróżnienie dla siebie samego, nie zdoła dobrze wypełnić swojego biskupiego powołania. Pierwsze i najważniejsze źródło czci należy biskupowi tkwi w odpowiedzialności związanej z jego posługą.

„Nie może się ukryć miasto położone na górze” (Mt 5, 14). Biskup jest zawsze na górze, na świeczniku, widoczny dla wszystkich. Ma zdawać sobie sprawę z tego, że wszystko, co dzieje się w jego życiu, nabiera większego znaczenia wobec wspólnoty: oczy wszystkich są w nim utkwione (por. Łk 4, 20). Jak ojciec rodziny kształtuje wiarę swoich dzieci przede wszystkim przykładem swojej

religijności i modlitwy, tak też biskup buduje swoich wiernych całym swym postępowaniem. Dlatego autor Pierwszego Listu św. Piotra tak usilnie prosi, by biskupi byli żywym przykładem dla stada (por. 1 P 5, 3). W tej właśnie perspektywie szczególnej wymowy nabiera znak włożenia mitry podczas liturgii święceń. Nowo wyświęcony biskup przyjmuje ją jako zobowiązanie do zaangażowania, aby „jaśniał w nim blask świętości” i by był godzien „otrzymać niewiedzący wieniec chwały”, gdy ukaże się Chrystus, „Najwyższy Pasterz” (por. Pontyfikat rzymski).

Biskup jest w szczególny sposób wezwany do osobistej świętości, aby wzrastała i pogłębiała się świętość wspólnoty Kościoła, która została mu powierzona. To on jest odpowiedzialny, by było realizowane „powszechne powołanie do świętości”, o którym mówi V rozdział Konstytucji *Lumen gentium*. Jak pisałem na zakończenie Wielkiego Jubileuszu, tkwi w tym wezwaniu wewnętrzna dynamika eklezjologii (por. *Novo millennio ineunte*, 30). Lud „zjednoczony jednością Ojca, Syna i Ducha Świętego” to Lud należący do Tego, który jest po trzykroć Święty (por. Iz 6, 3). „Wyznawać wiarę w Kościół jako święty - pisałem - znaczy wskazywać jego oblicze Oblubienicy Chrystusa, dla której On złożył w ofierze samego siebie właśnie po to, aby ją uświęcić” (*Novo millennio ineunte*, 30). Dar świętości, który staje się zadaniem. Trzeba wciąż uświadamiać sobie, iż temu zadaniu winno być podporządkowane całe życie chrześcijanina: „Albowiem wolą Bożą jest wasze uświęcenie” (1 Tes 4, 3).

Na początku lat siedemdziesiątych, nawiązując do Konstytucji *Lumen gentium*, napisałem: „Historia zbawienia jest historią całego Ludu Bożego, a zarazem historia ta przebiega poprzez życie poszczególnych ludzi - osób. W każdej z tych osób niejako na nowo się konkretyzuje. Na tym polega zasadnicze znaczenie świętości, że jest ona zawsze świętością osoby. Na to wskazuje ostatecznie «powszechne» powołanie do świętości. Powołani są wszyscy członkowie Ludu Bożego, ale każdy z nich w sposób jedyny i неповtarzalny” (*Upodstaw odnowy. Studium o realizacji Vaticanum II*, Kraków 1972, s. 165). Osobista świętość każdego przydaje piękna obliczu Kościoła, Oblubienicy Chrystusa, sprawiając, że jego przesłanie może być łatwiej przyjęte przez współczesny świat.

Z kolei w obrzędzie konsekracyjnym następuje wręczenie pastorału. Jest to znak władzy, jaka przysługuje biskupowi dla wypełnienia zadania opieki nad owczarnią. I ten znak wpisuje się w perspektywę troski o świętość Ludu Bożego. Pasterz ma bowiem czuwać i chronić, prowadzić każdą owcę „na zielone pastwiska” (por. Ps 23 [22], 2) - na te pastwiska, na których odkryje ona, że świętość nie jest zarezerwowana dla wybranej grupy „geniuszów” świętości. „Drogi świętości są wielorakie i dostosowane do każdego powołania” (*Novo millennio ineunte*, 31). Jaki potencjał drzemie w tej niezliczonej rzeszy ludzi ochrzczonych! Stale modłę się, aby Duch Święty rozpałał serca biskupów swoim ogniem, abyśmy byli pedagogami świętości, zdolnymi pociągać wiernych naszym przykładem.

Przychodzi na myśl wzruszające pożegnanie św. Pawła ze starszymi Kościoła w Efezie: „Uważajcie na samych siebie i na całe stado, w którym Duch Święty ustanowił was biskupami, abyście kierowali Kościołem Boga, który On nabył własną krwią” (Dz 20, 28). Nakaz Chrystusa przynagla każdego pasterza: „Idźcie (...)

1 nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19). Idźcie... nie zatrzymujcie się nigdy! Dobrze znamy oczekiwania Boskiego Mistrza: „Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał” (J 15, 16).

Pastorał z krzyżem, którego używam obecnie, jest repliką pastorału papieża Pawła VI. Dostrzegam w nim symbol trzech zadań: troski, przewodnictwa i odpowiedzialności. To nie jest znak władzy w zwykłym rozumieniu tego słowa. To nie jest znak pierwszeństwa czy panowania nad innymi, ale znak służby. Jest to znak koniecznej troski o potrzeby owiec: aby miały życie i miały je w obfitości! (por. J 10, 10). Biskup ma kierować i przewodzić. Będzie jednak słuchany i kochany przez swoich wiernych w takiej mierze, w jakiej będzie naśladował Chrystusa, Dobrego Pasterza, który „nie przyszedł, aby Mu służono, lecz aby służyć i dać swoje życie jako okup za wielu” (Mt 20, 28). „Służyć!” - jakże cenię to słowo! Kapłaństwo „służebne”, zadziwiająca nazwa...

Można czasem usłyszeć głos kogoś, kto broni władzy biskupiej rozumianej jako pierwszeństwo: to owce mają iść za pasterzem - mówi - a nie pasterz za owcami. Można się z tym zgodzić, ale w tym sensie, że to pasterz ma iść przodem i oddawać życie za owce swoje; ma być pierwszy w ofierze i oddaniu. „Powstał Pasterz dobry, który własne życie oddał za swoje owce. I umarł za swoją owczarnię” (Liturgia godzin, 4 Niedziela Wielkanocna, Godzina czytań, II responsorium). Biskup ma pierwszeństwo w ofiarnej miłości do wiernych i do Kościoła, na wzór św. Pawła: „Raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony dopełniam niedostatki udreń Chrystusa w moim ciele dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Koi 1, 24).

Do roli pasterza z pewnością należy także upominanie. Myślę, że w tym względzie chyba za mało czyniłem. Zawsze istnieje problem relacji między władzą a służbą. Może powinienem sobie wyrzucać, że nie dość próbowałem rządzić. Jakoś to wynika z mojego usposobienia. W jakiś sposób jednak można to odnieść do woli Chrystusa, który prosił swoich Apostołów nie tyle żeby rządzili, ile żeby służyli. Oczywiście władza przynależy biskupowi, ale wiele zależy od tego, jak będzie ona sprawowana. Jeżeli biskup kładzie zbyt ni nacisk na władzę, to ludzie od razu myślą, że potrafi tylko rządzić. Przeciwnie, jeżeli przyjmuje postawę służby, to wierni spontanicznie czują się zmobilizowani do słuchania go i chętnie poddają się jego władzy. Wydaje się, że trzeba tu pewnej równowagi. Jeżeli biskup mówi jedynie: „Ja tu rządę”, albo: „Ja tu tylko służę”, to czegoś brak: on ma służyć rządząc i rządzić służąc. Wymowny tego wzór znajdujemy w samym Chrystusie: On służył nieustannie, ale również w duchu służby Bożej potrafił wyrzucić kupców ze świątyni, kiedy zaszła taka potrzeba. Myślę jednak,

że mimo pewnych trudności z upominaniem podjąłem wszystkie potrzebne decyzje. Jako metropolita krakowski bardzo się starałem, żeby je podejmować kolegiально, tzn. naradzając się z moimi biskupami pomocniczymi i współpracownikami. Co tydzień były sesje kurialne, na których wszystkie sprawy były omawiane w kontekście największego dobra archidiecezji. Moim współpracownikom lubiłem stawiać dwa pytania. Pierwsze brzmiało: „Jaka prawda wiary rzuca światło na ten problem?” A drugie: „Kogo możemy wziąć albo przygotować do pomocy?” Znalezienie religijnego uzasadnienia dla działania i osoby odpowiedniej do zadań było dobrym początkiem, rokującym nadzieję na powodzenie duszpasterskich przedsięwzięć.

Wręczenie pastorału kończy obrzęd święceń. Potem rozpoczyna się Msza św, którą nowy biskup celebrowa razem z konsekratorami. To wszystko tak bardzo nasycone jest treścią, myślami, osobistą świadomością, że nie da się tego ani adekwatnie oddać, ani niczego dodać!

Pielgrzymka do sanktuarium Maryi

Po Mszy św. poszedłem z Wawelu prosto do seminarium, bo tam było przyjęcie dla zaproszonych gości, ale jeszcze tego samego wieczora pojechałem z tzw. „środowiskiem” moich przyjaciół do Częstochowy, gdzie następnego dnia rano odprawiłem Mszę św. w kaplicy cudownego obrazu Matki Boskiej.

Częstochowa to miejsce szczególne dla Polaków. W jakimś sensie utożsamia się z Polską i z jej historią, a szczególnie z historią zmagania o narodową niepodległość. Tu jest narodowe sanktuarium, zwane Jasną Górą. Clarus Mons - Chiaromonte: ta nazwa, odwołująca się do światła, które rozprasza mroki, nabierała szczególnego znaczenia dla Polaków przeżywających ciemne czasy wojen, rozbiorów i okupacji. Wszyscy wiedzieli, że źródłem tego światła nadziei jest obecność Maryi w Jej cudownym wizerunku. Tak było chyba po raz pierwszy podczas najazdu szwedzkiego zwanego w historii „potopem”. Wówczas - rzecz znacząca - Sanktuarium stało się twierdzą, której najeźdźcy nie udało się zdobyć. Naród odczytał wtedy ten fakt jako zapowiedź zwycięstwa. Wiara w opiekę Maryi dała Polakom siłę do pokonania najeźdźcy. Odtąd Sanktuarium Jasnogórskie było niejako ostoją wiary, ducha, kultury i wszystkiego, co stanowi o tożsamości narodowej. Tak było szczególnie w długim okresie rozbiorów i utraty suwerenności państwa. Podczas II wojny światowej nawiązywał do tego papież Pius XII, gdy mówił: „Nie zginęła Polska i nie zginie, bo Polska wierzy, Polska się modli, Polska ma Jasną Górę”. I te słowa dzięki Bogu spełniły się.

Potem jednak nadszedł inny ciemny okres w naszych dziejach - czas zmagania z komunizmem. Władze partyjne miały świadomość tego, czym jest dla Polaków Jasna Góra, cudowny Obraz i maryjna pobożność, która od początku kształtuje się wokół niego. Dlatego, gdy z inicjatywy Episkopatu, a zwłaszcza kardynała

Stefana Wyszyńskiego ruszyła z Częstochowy peregrynacja „Czarnej Madonny”, która miała nawiedzić wszystkie parafie i wspólnoty w Polsce, władze komunistyczne robiły wszystko, by uniemożliwić to „nawiedzenie”. Kiedy Obraz został „zaaresztowany” przez milicję, pielgrzymowały puste ramy, a ich wymowa była jeszcze bardziej czytelna. W tych ramach bez obrazu odczytywano niemy znak braku wolności religijnej. A Naród wiedział, że ma do niej prawo i tym bardziej o nią się modlił. To pielgrzymowanie trwało prawie dwadzieścia pięć lat i zaowocowało pośród Polaków niezwykłym umocnieniem w wierze, nadziei i miłości.

Wszyscy wierzący Polacy pielgrzymują do Częstochowy. Ja też od dziecka tam jeździłem z pielgrzymkami. W roku 1936 była wielka pielgrzymka młodzieży akademickiej z całej Polski, połączona ze złożeniem uroczystego ślubowania przed obrazem. Potem była ona powtarzana co roku.

Podczas okupacji odbyłem tę pielgrzymkę już jako student filologii polskiej na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pamiętam ją szczególnie, bo dla podtrzymania tradycji pojechaliśmy do Częstochowy jako delegaci: Tadeusz Ulewicz, ja i jeszcze ktoś trzeci. Jasna Góra była otoczona przez wojska hitlerowskie. Ojcowie paulini udzielili nam gościny. Wiedzieli, że jesteśmy delegacją. Było to oczywiście zakonspirowane. Mieliśmy satysfakcję, że udało się nam tę tradycję podtrzymać. Później też wielokrotnie jeździłem z różnymi pielgrzymkami - w szczególności z pielgrzymką wadowicką.

Co roku na Jasnej Górze odbywały się rekolekcje biskupów, zwykle na początku września. Pierwszy raz uczestniczyłem w nich jeszcze jako zwyczajny biskup nominat. Zabral mnie ze sobą arcybiskup Baziak. Pamiętam, że tamte rekolekcje prowadził ks. Jan Zięją, kapłan o wybitnej osobowości. Naturalnie pierwsze miejsce zajmował Prymas, kardynał Stefan Wyszyński, człowiek prawdziwie opatrnościowy na czasy, w których żyliśmy.

Chyba z tych pielgrzymek na Jasną Górę zrodziło się pragnienie, aby pierwsze kroki w papieskim pielgrzymowaniu skierować do sanktuarium maryjnego. To pragnienie poprowadziło mnie w pierwszą podróż apostolską do Meksyku, do stóp Dziewicy z Guadalupe. W miłości Meksykanów i w ogóle mieszkańców Ameryki Środkowej i Południowej do Maryi z Guadalupe - miłości wyrażanej spontanicznie i uczuciowo, ale bardzo intensywnej i głębokiej - jest wiele podobieństw do polskiej pobożności maryjnej, która ukształtowała także moją duchowość. Serdecznie nazywają Maryję La Virgen Morenita, co można swobodnie przetłumaczyć jako „Czarna Madonna”. Jest tam bardzo znana ludowa pieśń o miłości młodzieńca do dziewczyny; Meksykanie odnoszą tę pieśń do Matki Bożej. Wciąż brzmiały w moich uszach te melodyjne słowa:

„Conoci a una linda Morenita... y la quise mucho.
Por las tardes iba yo enamorado y cañoso a verla.
A/ contemplar sus ojos, mi pasión credea.
Ay Morena, morenita mia, no te ohidare.

mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je prostaczkom" (Mt 11, 25). A w tej tajemnicy szczególną rolę miała Maryja.

Część II

Działalność biskupa

„Spełnij swe posługiwanie" (2 Tm 4, 5)

Biskupie zadania

Powróciwszy do Krakowa z mojej pierwszej biskupiej pielgrzymki na Jasną Górę, zacząłem chodzić do Kurii. Zostałem mianowany od razu wikariuszem generalnym. Mogę szczerze powiedzieć, że zaprzyjaźniłem się z wszystkimi pracownikami Kurii krakowskiej. Ks. Stefan Marszowski, ks. Mieczysław Satora, ks. Mikołaj Kuczkowski, ks. infułat Bohdan Niemczewski. Ten ostatni jako dziekan kapituły najbardziej zdecydowanie zabiegał potem, żebym ja został mianowany arcybiskupem, wbrew całej arystokratycznej tradycji. W Krakowie bowiem arcybiskupi bywali zwykle wybierani spośród arystokratów. Było więc zaskoczeniem, gdy po nich wszystkich zostałem mianowany ja, „proletariusz". To jednak wydarzyło się kilka lat później, w 1964 roku. Jeszcze do tego powrócę. W Kurii dobrze się czułem i lata krakowskie wspominam z wielką wdzięcznością i radością. Zaczęli przychodzić do mnie księża, przynosząc różne sprawy. Z entuzjazmem oddałem się pracy. A na wiosnę zaczęły się wizytacje.

Stopniowo wdrażałem się w nowe funkcje kościelne. Razem z biskupim powołaniem i konsekracją przyjąłem nowe zadania. W zwięzłej syntezie zostały one ujęte w liturgii biskupiej konsekracji. Jak wspomniałem, od czasu mojej sakry w 1958 roku,

obrządek święceń biskupów uległ zmianom, jednak jego istota pozostała nienaruszona. Dawny zwyczaj, ustalony przez Ojców Kościoła, nakazywał, aby przyszłego biskupa zapytać wobec ludu, czy chce dochować wiary i wypełniać powierzony mu urząd posługiwania. Obecnie pytania te brzmią tak:

Czy chcesz

z łaską Ducha Świętego

pełnić aż do śmierci

powierzony nam przez Apostołów urząd

posługiwania,

który otrzymasz przez nałożenie naszych rąk?

Czy chcesz wiernie i nieustannie głosić Ewangelię Chrystusa?

Czy chcesz zachować czysty i nienaruszony skarb wiary,

który zgodnie z tradycją

od czasów apostołskich

zawsze i wszędzie strzeżony jest w Kościele?

Czy chcesz budować Ciało Chrystusa, to jest Jego Kościół,
i trwać w jedności z kolegium biskupów,
pod przewodnictwem następcy świętego Piotra Apostoła?

Czy chcesz wiernie okazywać posłuszeństwo następcy
świętego Piotra?

Czy jako miłujący ojciec chcesz razem z naszymi współpracownikami,
prezbiterami i diakonami,
troszczyć się o święty Lud Boży i kierować go na drogę zbawienia?

Czy ze względu na imię Pana
chcesz być przystępny i miłosierny
dla ubogich, przybyszów i wszystkich potrzebujących?

Czy jako dobry pasterz
chcesz szukać zbłąkanych owiec
i odnosić je do Pańskiej owczarni?

Czy chcesz nieustannie błagać wszechmogącego Boga
za lud święty i nienagannie pełnić urząd posługiwania najwyższego
kapłaństwa? (Pontyfikat rzymski, Obrzęd święceń biskupa)

Słowa tu przytoczone z pewnością zapisały się głęboko w sercu każdego biskupa. Stanowią one echo pytań Jezusa nad Jeziorem Galilejskim: „«Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?» (...) Rzekł do niego: «Paś baranki mojej» I znowu, po raz drugi, powiedział do niego: «Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie?» (...) Rzekł do niego: «Paś owce moje!» Powiedział mu po raz trzeci: «Szymonie, synu Jana, czy kochasz Mnie?» Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: «Czy kochasz Mnie?» I rzekł do Niego: «Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię Kocham*. Rzekł do niego Jezus: «Paś owce moje!»" (J 21, 15-17). Nie twoje owce, nie wasze, lecz moje! On bowiem stworzył człowieka. On go odkupił. On wykupił wszystkich, co do jednego, za cenę swojej Krwi!

Pasterz

Tradycja chrześcijańska utrwaliła biblijny obraz pasterza w trzech postaciach: jako tego, który niesie na ramionach zagubioną owcę; jako tego, który prowadzi swoje stada na zielone pastwiska; i jako tego, który laską pasterską zagarnia swoje owce i broni je od niebezpieczeństw.

We wszystkich trzech obrazach powraca jedno przesłanie: pasterz jest dla owiec, a nie owce dla pasterza. Jest tak bardzo z nimi związany, że jest gotów życie oddać za owce (por. J 10, 11). Każdego roku w dwudziestym czwartym i dwudziestym piątym tygodniu okresu zwykłego, w Liturgii godzin, pojawia się długie Kazanie o pasterzach św. Augustyna (por. Godzina czytań). Nawiązując do Księgi proroka Ezechiela, biskup Hippony bardzo ostro piętnuje złych

pasterzy, to znaczy takich, którzy nie troszczą się o owce, ale o samych siebie: „Zobaczmyż teraz, co prawdomówne Słowo Boże mówi do pasterzy, którzy pasą siebie samych, a nie owce: «Nakarmiliście się mlekiem, odzialiście się wełną; zabiliście tłuste zwierzęta, jednakże owiec nie paśliście. Słabej nie wzmacnialiście, o zdrowie chorej nie dbaliście, skaleczonej nie opatrywaliście, zabłąkanej nie sprowadziliście z powrotem, zagubionej nie odszukaliście, mocną gnębiliście; rozproszyły się owce moje, bo nie miały pasterza»" (Godzina czytań, poniedziałek XXIV tygodnia). Św. Augustyn dochodzi jednak do pełnego optymizmu stwierdzenia: „Nie brak dobrych pasterzy, ale wszyscy są w Jednym. (...) Wszyscy (...) dobrzy pasterze są w Jednym i jedno stanowią. Gdy oni pasą, Chrystus pasie. (...) W nich bowiem jest Jego głos i Jego miłość" (Godzina czytań, piątek XXV tygodnia).

Jakże przejmujące refleksje o posłudze pasterskiej pozostawił nam także św. Grzegorz Wielki: „Świat jest pełen kapłanów, ale niewielu jest robotników na żniwach Pana. Przyjmujemy wprawdzie stan kapłański, ale zadania urzędu nie spełniamy. (...) Zaniebujemy obowiązek głoszenia i na nasze nieszczęście — jak widzę - nazywamy się biskupami. Zatrzymujemy godność, a pomijamy zobowiązania godności. Ci, którzy zostali nam powierzeni, opuszczają Boga, a my milczymy" (Godzina czytań, sobota XXVII tygodnia). Coroczne przypomnienie, jakie liturgia kieruje do naszej świadomości, odwołując się do odpowiedzialności wobec Kościoła!

„Znam owce moje" (J 10, 14)

Dobry pasterz zna swoje owce i one go znają (por. J 10, 14). Zapewne jest zadaniem biskupa roztropnie starać się, by jak najwięcej osób współtworzących z nim lokalny Kościół mogło go poznać osobiście. Ze swej strony on sam będzie się starał być blisko nich, by wiedział, czym żyją, co cieszy i co niepokoi ich serca. Podstawą tego wzajemnego poznania są nie tyle okazjonalne spotkania, ile raczej prawdziwe zainteresowanie tym, co dzieje się w ludzkich sercach, bez względu na wiek, stan lub narodowość każdego. Takie zainteresowanie obejmuje tych, którzy są blisko i tych, którzy są daleko (por. Dekret o pasterskich zadaniach biskupów w Kościele, 16). Trudno sformułować jakąś systematyczną teorię na temat traktowania ludzi. Niemniej mnie bardzo pomagał personalizizm, który zgłębiałem studiując filozofię. Każdy człowiek jest osobą indywidualną i dlatego nigdy a priori nie mogę zaprogramować jakiegoś odniesienia, które byłoby właściwe dla wszystkich, ale poniekąd muszę uczyć się go za każdym razem od początku. Dobrze wyraża to wiersz Jerzego Lieberta:

„Uczę się ciebie, człowieku.

Powoli się uczyć, powoli.

Od tego uczenia trudnego

Raduje się serce i boli" (Poezje, Warszawa 1983, s. 144).

Dla biskupa jest bardzo ważne mieć kontakt z ludźmi i posiadać umiejętność kontaktowania się z nimi na różne sposoby. Jeśli o mnie chodzi, to rzecz znamienna, że nigdy nie miałem wrażenia, żeby liczba moich kontaktów była zbyt duża. Niemniej moją stałą troską było, aby w każdym przypadku zachować indywidualny charakter tych odniesień. Każdy człowiek jest osobnym rozdziałem. Zawsze działałem zgodnie z tym przekonaniem. Zdaję sobie jednak sprawę, że tego nie można się nauczyć. To po prostu jest, wypływa z wnętrza.

Zainteresowanie drugim człowiekiem zaczyna się od modlitwy biskupa, od jego rozmowy z Chrystusem, który mu powierza „swoich”. Modlitwa przygotowuje nas do spotkań z innymi. Są to spotkania, w których dzięki duchowemu otwarciu możemy się wzajemnie poznawać i rozumieć także wtedy, kiedy czasu jest niewiele. Ja za wszystkich po prostu modlę się dzień w dzień. Gdy spotykam człowieka, to już się za niego modlę i to zawsze pomaga w kontakcie z nim. Trudno mi powiedzieć, jak ludzie to odbierają - trzeba by ich zapytać. Mam jednak taką zasadę, że każdego przyjmuję jako osobę, którą przysłał Chrystus - jako tego, którego mi dał i zarazem zadał.

Nie lubię wyrażenia „tłum”, które naznaczone jest anonimowością; wolę określenie „rzesza” (po grecku plethos: Mk 3, 7; Łk 6, 17; Dz 2, 6; 5, 14 i inne). Chodził Chrystus po drogach Palestyny, a za Nim często szły wielkie rzesze ludzi; tak też było w przypadku Apostołów. Oczywiście posługa, którą pełnię, wymaga ode mnie spotkań z wieloma ludźmi, czasem z wielkimi rzeszami. Tak było na przykład w Manili, gdzie były miliony młodych ludzi. Jednakże nie można było w tym przypadku mówić o anonimowym tłumie. I tak jest wszędzie. W Manili miałem przed oczyma całą Azję. Ilu chrześcijan i ileż milionów ludzi, którzy na tym kontynencie jeszcze nie znają Chrystusa! Ogromną nadzieję wiąże z dynamicznym Kościołem na Filipinach i w Korei. Azja: oto nasze wspólne zadanie na trzecie tysiąclecie!

Sprawowanie sakramentów

Największy skarb, największe bogactwo, jakim dysponuje biskup, to sakramenty. Świeceni przez niego kapłani służą mu pomocą w udzielaniu sakramentów. Skarb ten został złożony w ręce Apostołów i ich następców przez Chrystusa na mocy Jego „testamentu”, zarówno w najgłębszym teologicznym sensie tego słowa, jak też w jego najprostszym sensie ludzkim. Chrystus, „wiedząc, że nadeszła godzina Jego, by przeszedł z tego świata do Ojca” (J 13, 1), „sam Dwunastu się powierzył i na pokarm z rąk swych dał” (Hymn Pange lingua), polecając im powtarzać ryt Wieczerzy: łamać chleb i podawać kielich wina, sakramentalne znaki Jego ofiarowanego Ciała i przelanej Krwi. Po śmierci i zmartwychwstaniu zlecił im posługę odpuszczania grzechów i udzielania innych sakramentów, poczynając od

Chrztu. Ten skarb Apostołowie przekazali swoim następcom. Obok głoszenia słowa, sprawowanie sakramentów jest więc pierwszym zadaniem biskupów, któremu podporządkowane mają być wszystkie inne ich prace. Wszystko w życiu i działaniu biskupa ma służyć temu jednemu zadaniu.

Wiemy, że potrzebujemy w tym pomocy. „Prosimy Cię, Panie, udziel także nam słabym takich pomocników, albowiem im słabsi jesteśmy od Apostołów, tym większej ich liczby potrzebujemy” (Pontyfikat rzymski, Obrzęd święceń prezbiterów). Dlatego wybieramy, przygotowujemy zdatnych do tego kandydatów i wyświęcamy ich na prezbiterów i diakonów. Razem z nami podejmują oni zadanie głoszenia słowa i sprawowania sakramentów świętych.

Taka perspektywa winna oświecać i porządkować zadania, jakie podejmujemy na co dzień, sprawy, które wypełniają nasze kalendarze. Oczywiście dotyczy to nie tylko sprawowania Eucharystii i udzielania Bierzmowania pośrodku zgromadzonego Kościoła, lecz także udzielania Chrztu świętego dzieciom, a nade wszystko dorosłym, którzy za sprawą pracy apostołowskiej wspólnoty naszego Kościoła lokalnego zostali przygotowani, aby stać się uczniami Chrystusa. Nie można też nie doceniać osobistego sprawowania sakramentu Pokuty, czy nawiedzania chorych z ustanowionym specjalnie dla nich sakramentem Namaszczenia. Do zadań biskupa należy również troska o świętość małżeństwa, jaką powinien okazywać nie tylko za pośrednictwem proboszczów, ale także osobiście, starając się, gdy jest to możliwe, błogosławić zaślubinom. Naturalnie większość tych zadań podejmują kapłani jako współpracownicy biskupów. Jednak osobiste zaangażowanie pasterza diecezji w sprawowanie sakramentów jest dla powierzonego mu ludu - świeckich i prezbiterów -dobrym przykładem. Jest to dla nich bardziej czytelny znak jego więzi z Chrystusem, obecnym i działającym we wszystkich tajemnicach sakramentalnych. Sam Chrystus pragnie, byśmy byli narzędziami dzieła zbawienia, które On realizuje poprzez sakramenty Kościoła. To właśnie w tych skutecznych znakach łaski odsłania się przed oczyma ludzkiej duszy oblicze Chrystusa, miłosiernego Zbawcy i Dobrego Pasterza. Biskup, który osobiście sprawuje sakramenty, ukazuje się w sposób czytelny wszystkim jako znak Chrystusa zawsze obecnego i działającego w swoim Kościele.

Wizytacje duszpasterskie

Jak już wspomniałem, regularnie chodziłem pracować do Kurii, ale szczególnie ceniłem sobie wizytacje duszpasterskie. Bardzo je lubiłem, gdyż dawały mi one możliwość bezpośredniego kontaktu z ludźmi. Miałem odczucie, że ich wówczas „wychowywałem”. Przychodzili do mnie kapłani i świeccy, przychodziły rodziny, młodzi i starzy, zdrowi i chorzy, rodzice z ich dziećmi i z ich problemami; przychodzili wszyscy ze wszystkim. To było życie.

Pamiętam dobrze pierwszą wizytację w Mucharzu pod Wadowicami. Był tam stary proboszcz, taki rasowy kapłan, prałat. Nazywał się Józef Motyka. Wiedział, że to moja pierwsza wizytacja i bardzo był tym wzruszony. Powiedział, że dla niego będzie ona chyba ostatnią. Uważał, że musi być dla mnie przewodnikiem. Wizytacja obejmowała cały dekanat i trwała dwa miesiące - maj i czerwiec. Po wakacjach natomiast wizytowałem mój rodzinny dekanat wadowicki.

Wizytacje odbywały się na wiosnę i w jesieni. Nie zdążyłem zwizytować wszystkich parafii, których było ponad trzysta. Choć byłem 20 lat biskupem w Krakowie, nie zdążyłem. Pamiętam, że ostatnią parafią archidiecezji krakowskiej, którą wizytowałem, była parafia św. Józefa na Żółtych Łanach, na nowo powstałym osiedlu Bielska-Białej. Proboszczem parafii Opatrzności Bożej w tym mieście był ks. Józef Sanak, u którego nocowałem. Po powrocie z tej wizytacji odprawiłem Mszę św. za zmarłego papieża Jana Pawła I i pojechałem do Warszawy, by wziąć udział w obradach Komisji Episkopatu, a potem wyruszyłem do Rzymu... nie wiedząc, że trzeba będzie tam pozostać.

Wizytacje moje były raczej długie: może dlatego nie zdążyłem wszystkich parafii odwiedzić. Wypracowałem sobie własny model wypełniania tego pasterskiego obowiązku. Był wprawdzie model tradycyjny i od niego zacząłem we wspomnianym Mucharzu. Stary prałat, którego tam zastałem, był mi w tym cennym przewodnikiem. Później jednak, kierując się pozyskiwanym doświadczeniem, uznałem za stosowne wprowadzić pewne zmiany. Nie zadowalał mnie raczej jurydyczny kształt, jaki w przeszłości miały wizytacje; chciałem wprowadzić więcej treści duszpasterskiej.

Wypracowałem pewien schemat. Zawsze wizytacja zaczynała się przywitaniem, w którym brały udział różne osoby i grupy: starsi, dzieci i młodzież. Potem wprowadzano mnie do kościoła, gdzie miałem przemówienie, które miało służyć nawiązaniu kontaktu z ludźmi. Następnego dnia szedłem najpierw do konfesjonału i spowiadałem penitentów - godzinę, dwie, w zależności od sytuacji.

Potem była Msza św. i odwiedziny w domach, przede wszystkim u chorych, ale nie tylko. Niestety do szpitali komuniści nie wpuszczali. Byli także chorzy, przywożeni do kościoła na osobne spotkanie. To w diecezji organizowała sługa Boża Hanna Chrzanowska. Zawsze czułem, że osoby cierpiące stanowią fundamentalne oparcie w życiu Kościoła. Pamiętam, że przy pierwszych

kontaktach chorzy mnie onieśmielali. Potrzeba było sporo odwagi, aby stanąć wobec cierpiącego i niejako wniknąć w jego ból fizyczny i duchowy, aby nie ulegać zakłopotaniu i okazać przynajmniej odrobinę pełnego miłości współczucia. Głęboki sens tajemnicy ludzkiego cierpienia odsłonił mi się później. W słabości chorych zawsze dostrzegałem coraz bardziej objawiającą się siłę — siłę miłosierdzia. Chorzy niejako „prowokują” miłosierdzie. Przez swoją modlitwę i ofiarę nie tylko wypraszają miłosierdzie, ale stanowią „przestrzeń miłosierdzia”, czy lepiej „otwierają przestrzeń” dla miłosierdzia. Swoją chorobą i cierpieniem wzywają do czynów miłosierdzia i stwarzają możliwość ich podejmowania. Miałem zwyczaj powierzać chorym sprawy Kościoła i zawsze przynosiło to dobry skutek. W czasie wizytacji udzielałem również sakramentów: bierzmowałem młodzież i błogosławiłem małżeństwa.

Z kolei spotykałem się oddzielnie z różnymi grupami, np. z nauczycielami, pracownikami parafii, z młodzieżą. Było także osobne spotkanie w kościele z wszystkimi małżeństwami, połączone ze Mszą św, a kończyło się specjalnym błogosławieństwem udzielanym oddzielnie każdej z par. Podczas takiego spotkania była oczywiście homilia specjalnie dla małżeństw. Zawsze ze szczególnym wzruszeniem przeżywałem spotkania z rodzinami wielodzietnymi, jak również z matkami oczekującymi na narodzenie dziecka. Pragnąłem wyrazić moje uznanie dla macierzyństwa i ojcostwa. Zaangażowanie duszpasterskie na rzecz par małżeńskich i rodzin towarzyszyło mi od początku kapłaństwa. Jako duszpasterz akademicki organizowałem kursy przedmałżeńskie, a później, jako biskup, wspierałem duszpasterstwo rodzin. Z tych doświadczeń, z tych spotkań z narzeczonymi, małżeństwami i rodzinami zrodził się poetycki dramat Przed sklepem jubilera i książka Miłość i odpowiedzialność, a potem, bardziej współcześnie, również List do Rodzin.

Były też osobne spotkania z księżmi. Chciałem każdemu dać okazję do tego, by mógł zwierzyć się, podzielić radościami i troskami swego posługiwania. Dla mnie te spotkania okazały się cenną okazją, by dzięki nim poznawać skarbiec mądrości zgromadzony przez lata apostołskiego trudu.

Przebieg wizytacji duszpasterskiej zależał od warunków danej parafii. Faktycznie ich sytuacje były bardzo różne. Na przykład wizytacja w parafii Mariackiej w Krakowie trwała dwa miesiące: tyle jest w niej kościołów i kaplic. Zupełnie inaczej było w Nowej Hucie: nie było tam kościoła, ale były dziesiątki tysięcy mieszkańców. Istniała jedynie mała kapliczka, dobudowana do dawnej szkoły. Trzeba pamiętać, że były to czasy postalinow-skie i trwała walka z religią. Rząd nie zgadzał się na budowę nowych kościołów w „socjalistycznym mieście”, jakim miała być Nowa Huta.

Walka o kościół

Właśnie w Krakowie-Nowej Hucie nieustannie trwała zacięta walka o budowę kościoła. Ta wielotysięczna dzielnica była zamieszkała w większości przez przybywających z całej Polski pracowników wielkiego zakładu metalurgicznego. Zgodnie z założeniem władz, Nowa Huta miała być wzorowo „socjalistyczną”, czyli pozbawioną jakichkolwiek związków z Kościołem. Nie można było jednak zapomnieć, że ci ludzie, którzy przybyli tu w poszukiwaniu pracy, nie mieli zamiaru wyrzec się swoich katolickich korzeni.

Zmagania zaczęły się od dużego osiedla w Bieńczycach. Początkowo, na skutek pierwszych nacisków, władze komunistyczne wydały pozwolenie na budowę kościoła i wydzielono teren. Tam też ludzie od razu postawili krzyż. To pozwolenie jednak, dane jeszcze za czasów księdza arcybiskupa Baziaka, cofnięto i władze zarządziły likwidację krzyża. Wierni zdecydowanie się temu przeciwstawili. Wywiązała się wręcz walka z milicją - były ofiary, ranni. Prezydent miasta prosił, żeby „uspokoić ludzi”. To był jeden z pierwszych aktów długiej walki o wolność i godność tej części narodu, którą losy rzuciły do nowej części Krakowa.

Ostatecznie ta walka została wygrana, choć za cenę długotrwałej „wojny nerwów”. Prowadziłem rozmowy z władzami, głównie z kierownikiem Wojewódzkiego Urzędu do Spraw Wyznań. Był to człowiek, który wprawdzie w rozmowie zachowywał się grzecznie, ale był twardy i nieustępliwy przy podejmowaniu decyzji, które zdradzały ducha złośliwości i uprzedzeń.

Dzieło budowy kościoła podjął i doprowadził pomyślnie do końca ks. proboszcz Józef Gorzelany. Mądrym pociągnięciem duszpasterskim była zachęta, jaką skierował do parafian, by każdy z nich przyniósł kamień, który będzie wykorzystany przy budowie fundamentów i murów. W ten sposób każdy czuł się osobiście zaangażowany we wznoszenie murów nowej świątyni.

Podobną sytuację przeżywaliśmy w ośrodku duszpasterskim w Mistrzejowicach. Głównym bohaterem tamtejszych wydarzeń był heroiczny ksiądz Józef Kurzeja, który przyszedł do mnie i sam zaproponował, że pójdzie sprawować swoją posługę na tym osiedlu. Była tam bowiem mała budka, w której chciał zacząć katechizować, w nadziei, że powoli będzie mógł stworzyć nową parafię. Tak też się stało, ale zmagania o kościół w Mistrzejowicach ks. Józef przypłacił życiem. Szykanowany przez władze komunistyczne dostał zawału serca i zmarł w wieku trzydziestu dziewięciu lat.

W walce o kościół w Mistrzejowicach pomagał mu ks. Mikołaj Kuczkowski. Pochodził z Wadowic, podobnie jak ja. Pamiętam go z tego czasu, kiedy był jeszcze prawnikiem i miał narzeczoną, piękną dziewczynę, Nastkę, prezeskę Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Gdy zmarła, postanowił zostać księdzem. W 1939 roku wstąpił do seminarium i rozpoczął studia filozoficzne i teologiczne. Zakończył je w 1945 roku. Byłem z nim bardzo zżyty i on mnie

także lubił. Chciał — jak zwykło się mówić - „wyprowadzić mnie na ludzi”. Po święceniach biskupich osobiście zadbał, abym przeprowadził się do domu biskupów krakowskich przy ul. Franciszkańskiej 3. Wielokrotnie mogłem przekonać się, jaki był dobry dla ks. Józefa Kurzei, pierwszego proboszcza w Mistrzejowicach. Jeśli chodzi o samego ks. Józefa, to mogę powiedzieć, że był człowiekiem prostym i dobrym (jedną z jego sióstr jest sercanką). Jak wspominałem, ks. Kuczkowski bardzo mu pomagał w jego działaniach, a kiedy ks. Józef zmarł, zrezygnował ze stanowiska kanclerza Kurii i przejął po nim parafię w Mistrzejowicach. Tam też obaj zostali pochowani w krypcie pod kościołem, który zbudowali.

Można by dużo o nich opowiadać. Pozostali dla mnie wymownym przykładem braterstwa kapłańskiego, które z uznaniem obserwowałem i któremu towarzyszyłem jako biskup: „}Nierny przyjaciel potężną obroną, kto go znalazł, skarb znalazł” (Syr 6, 14). Prawdziwa przyjaźń, która rodzi się w Chrystusie: „Nazwałem was przyjaciółmi...” (J 15, 15).

Sprawę wznoszenia kościołów w PRL bardzo posunął naprzód biskup Ignacy Tokarczuk w pobliskiej diecezji przemyskiej. Budował je nielegalnie, za cenę wielu ofiar i szykan ze strony lokalnych władz komunistycznych. Miał jednak o tyle korzystniejszą sytuację, że wspólnoty w jego diecezji były przeważnie na wsi; mieszkańcy wsi, oprócz tego, że bardziej wrażliwi na sprawy religii, nie byli poddani takiej kontroli milicji, jak mieszkańcy miast.

Z wielką wdzięcznością i szacunkiem myślę o proboszczach, którzy budowali w tamtych czasach kościoły. Tą wdzięcznością obejmuję wszystkich budowniczych kościołów, gdziekolwiek są na świecie. Zawsze starałem się ich wspomagać. W Nowej Hucie znakiem takiego wsparcia stały się pasterki odprawiane pod gołym niebem, bez względu na mróz. Najpierw celebrowałem je w Bieńczycach, potem również w Mistrzejowicach i na Wzgórzach Krzesławickich. Stanowiło to dodatkowy argument w pertraktacjach z władzami, bo można było się odwoływać do prawa wiernych do ludzkich warunków w publicznym manifestowaniu ich wiary.

Mówię o tym wszystkim, bo nasze ówczesne doświadczenia pokazują, jak różne mogą się okazać zadania pasterskie biskupa. Jest w tych dziejach także echo pasterskich przeżyć związanych z dzieleniem losów powierzony mu owczarni. Mogłem osobiście przekonać się, jak bardzo prawdziwe jest to, co zostało powiedziane w Ewangelii o owcach, które idą za dobrym pasterzem: za obcym nie pójdą, bo znają głos swego pasterza. Ma on także inne owce, które nie są z jego owczarni. I te musi przyprowadzić (por. J 10,4-5.16).

Część III

Obowiązki naukowe i duszpasterskie

„...pełni szlachetnych uczuć, ubogaceni wszelką wiedzą...”
(Rz 15, 14)

Wydział Teologiczny w kontekście innych wydziałów uniwersyteckich

Jako biskup Krakowa czułem się zmuszony także do podjęcia obrony Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uważałem to za swój obowiązek. Władze państwowe utrzymywały, że ten Wydział został przeniesiony do Warszawy. Pretekstem było utworzenie w Warszawie w 1953 roku ATK - Akademii Teologii Katolickiej, pod państwowym zarządem. Walka została o tyle wygrana, że później w Krakowie powstał niezależny Papieski Wydział Teologiczny, a potem Papieska Akademia Teologiczna.

W tych zmaganiach umacniało mnie przeświadczenie, że nauka, obejmująca różnorakie dziedziny, jest nieocenionym dziedzictwem narodu. Oczywiście w rozmowach z władzami komunistycznymi przedmiotem obrony była przede wszystkim teologia, bo ten kierunek był szczególnie zagrożony. Nigdy jednak nie zapominałem o innych gałęziach wiedzy, również tych pozornie z teologią nie związanych.

Z tymi dziedzinami nauki miałem kontakty głównie przez fizyków. Często spotykaliśmy się i rozmawiali o najnowszych odkryciach w kosmologii. To było fascynujące zajęcie, potwierdzające Pawłowe twierdzenie, że do jakiegoś poznania Boga można docierać również przez poznanie stworzonego świata (por. Rz 1, 20-23). Te krakowskie spotkania są co jakiś czas kontynuowane w Rzymie i w Castel Gandolfo. Ich organizatorem jest profesor Jerzy Janik.

Zawsze też dokładałem starań, żeby istniało odpowiednie duszpasterstwo ludzi nauki. Ich kapelanem w Krakowie był jakiś czas ks. profesor Stanisław Nagy, którego niedawno wyniosłem do godności kardynała, pragnąc niejako wyrazić w ten sposób uznanie dla nauki polskiej.

Biskup i świat kultury

Wiadomo, że nie wszyscy biskupi są szczególnie zainteresowani dialogiem z naukowcami. Wielu przedkłada zadania duszpasterskie w szerokim tego słowa znaczeniu, nad kontakty z ludźmi nauki. Uważam jednak, że warto, żeby

duchowni, księża i biskupi, mieli osobisty kontakt ze światem nauki i tymi, którzy go tworzą. Biskup powinien dbać przede wszystkim o swoje uczelnie katolickie. Ale nie tylko. Powinien też mieć żywy kontakt z całym życiem akademickim: czytać, spotykać się, dyskutować, dowiadywać się, co się dzieje w tym środowisku. Oczywiście sam biskup jest wezwany nie do tego, by być naukowcem, ale pasterzem. Jako pasterz jednak nie może nie interesować się tą częścią swojej owczarni, skoro do niego należy przypominać naukowcom, że mają obowiązek służyć swoją wiedzą prawdzie, a przez to pomnażać dobro wspólne.

W Krakowie starałem się mieć również kontakt z filozofami: Romanem Ingardenem, Władysławem Stróżewskim, Andrzejem Póltawskim, a także z księżmi-filozofami: Kazimierzem Kló-sakiem, Józefem Tischnerem i Józefem Życińskim. Moje osobiste filozofowanie jest niejako rozpięte między dwoma biegunami: arystotelizmem-tomizmem i fenomenologią. Interesowałem się szczególnie myślą Edyty Stein, postaci niezwykle również z punktu widzenia egzystencjalnej drogi: urodzona we Wrocławiu Żydówka, która odnalazła Chrystusa, przyjęła Chrzest, wstąpiła do klasztoru karmelitanek, jakiś czas była w Holandii, skąd naziści wywieźli ją do Oświęcimia. Tam poniosła śmierć w komorze gazowej, a ciało jej spalono w krematorium. Studiowała u Husserla, była koleżanką naszego filozofa Ingardena. Dane mi ją było beatyfikować w Kolonii, a potem kanonizować w Rzymie. Ogłosiłem Edytę Stein, siostrę Teresę Benedyktę od Krzyża jedną z patronek Europy, razem ze świętą Brygidą Szwedzką i świętą Katarzyną Sieneńską. Trzy kobiety obok trzech patronów: Cyryla, Metodego i Benedykta.

Interesowała mnie jej filozofia, czytałem jej pisma, między innymi *Endliches und Ewiges Sein*, ale przede wszystkim fascynowało mnie jej niezwykle życie, jej tragiczne losy wkomponowane w historię milionów innych bezbronnych ofiar naszej epoki. Ofiara systemu hitlerowskiego, uczennica Edmunda Husserla, zakonnica - prawdziwie niezwykły „przypadek ludzki”.

Książki i studium

Wiele jest obowiązków, jakie spadają na barki biskupa. Znam to dobrze z własnego doświadczenia i zdaję sobie sprawę, jak bardzo może brakować czasu. Jednak to samo doświadczenie nauczyło mnie, jak bardzo biskupowi potrzeba skupienia i studium. Potrzebuje on odnawiającej się stale głębokiej formacji teologicznej, a także szerszego zainteresowania myślą i słowem. Są to skarby, którymi dzielą się ze sobą ludzie myślący. Chciałbym dlatego powiedzieć tu kilka słów o znaczeniu lektury w moim biskupim życiu.

Zawsze miałem dylemat: Co czytać? Starałem się wybierać to, co najistotniejsze. Tyle rzeczy się publikuje. Nie wszystkie są wartościowe i pożyteczne. Trzeba umieć wybierać i radzić się, co czytać.

Od dziecka lubiłem książki. Do tradycji czytania książek wdrażał mnie mój ojciec. Siadał obok mnie i czytał mi całego Sienkiewicza i innych pisarzy polskich. Kiedy umarła matka, zostaliśmy we dwóch z ojcem. I on nie przestawał zachęcać mnie do poznawania najbardziej wartościowej literatury. Nigdy też nie stawał na przeszkodzie mojemu zainteresowaniu teatrem. Gdyby nie wybuchła wojna i nie zmieniła się radykalnie sytuacja, to może perspektywy, jakie otwierały przede mną uniwersyteckie

studia literatury polskiej, pociągnęłyby mnie bez reszty. Kiedy powiadomiłem Mieczysława Kotlarczyka o mojej decyzji zostania księdzem, powiedział: „Człowieku, co ty robisz? Chcesz zmarnować talent?” Tylko ks. arcybiskup Sapieha nie miał wątpliwości.

Różnych autorów przeczytałem jeszcze jako student polonistyki. Naprzód sięgnąłem po literaturę piękną, zwłaszcza dramatyczną. Czytałem Szekspira, Moliera, polskich wieszczów: Norwida, Wyspiańskiego. Fredrę, oczywiście. Miałem zamiłowania aktorskie, sceniczne. Nieraz więc myślałem sobie, które postacie chciałbym zagrać.

Często, póki jeszcze żył Kotlarczyk, obsadzaliśmy możliwe role in abstracto: kto by mógł grać konkretną postać. Minęło. Później niektórzy mówili: „Ty się nadajesz..., byłbyś wielkim aktorem, gdybyś został w teatrze”.

A przecież liturgia jest także pewnego rodzaju mysterium granym, inscenizowanym. Pamiętam, jak wielkie wrażenie na mnie zrobiło, gdy ksiądz Figlewicz zaprosił mnie, piętnastoletniego chłopca, na Triduum Sacrum na Wawel i uczestniczyłem w Ciemnej Jutrzni antycypowanej w środę po południu. To był dla mnie duchowy wstrząs. Triduum paschalne jest dla mnie do dzisiaj wstrząsającym przeżyciem.

Nadszedł potem czas literatury filozoficznej i teologicznej. Jako seminarzysta clandestinus dostałem podręcznik metafizyki prof. Kazimierza Waisa ze Lwowa i ksiądz Kazimierz Kłósak powiedział: „Ucz się! Jak się nauczysz, to zdasz egzamin”. Kilka miesięcy przedzierałem się przez ten tekst. Zgłosiłem się na egzamin i zdałem. I to był przełom w moim życiu. Nowy świat mi się otworzył. Zacząłem studiować książki teologiczne. Potem podczas studiów w Rzymie zacząłem zgłębiać Sumę Teologiczną św. Tomasza.

Były zatem dwa etapy mojej drogi intelektualnej: pierwszy polegał na przejściu od myślenia literackiego do metafizyki; drugi prowadził mnie od metafizyki do fenomenologii. To mi dało warsztat pracy naukowej. Pierwszy etap początkowo przypadł na okres okupacji, kiedy pracowałem w fabryce „Solvay”, a po kryjomu studiowałem teologię w seminarium. Pamiętam, że gdy zgłosiłem się do rektora ks. Jana Piwowarczyka, powiedział: „Przyjmę pana, ale nawet rodzona matka nie może wiedzieć, że pan tu studiuje”. Taka była wówczas sytuacja. Jakoś udało się

przebrnąć. A potem bardzo mi pomógł ksiądz Ignacy Różycki, który ofiarował mi mieszkanie u siebie i stworzył zaplecze do pracy naukowej.

Dużo później ksiądz profesor Różycki zaproponował mi temat pracy habilitacyjnej w oparciu o dzieło M. Schelera *Der Formalismus in der Ethik und materiale Wertethik*. Tłumaczyłem sobie tę książkę na polski i pisałem tezę. To był nowy przełom. Pracę habilitacyjną ukończyłem i obroniłem w listopadzie 1953 roku. Recenzentami rozprawy byli ks. Aleksander Usowicz, Stefan Swieżawski i teolog ks. Władysław Wicher. Była to ostatnia habilitacja na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego przed jego likwidacją przez komunistów. Wydział -jak wyżej wspominałem - został przeniesiony na Akademię Teologii Katolickiej do Warszawy, a ja od jesieni 1954 r. podjąłem wykłady na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, co umożliwił mi prof. Swieżawski, z którym do dziś się przyjaźnię.

Księdza profesora Różyckiego nazywałem Ignac. Lubiałem go i ta przyjaźń była wzajemna. On mnie zachęcił do robienia habilitacji. On właściwie był jej moderatorem. Kilka lat mieszkaliśmy razem, stołowaliśmy się razem. Gotowała nam pani Marysia Gromek. Miałem tam pokój, który doskonale pamiętam. Mieścił się on w kamienicy kanoników wawelskich położonej przy ul. Kanoniczej 19 i był moim „domem” przez sześć lat. Następnie zamieszkałem pod nr 21, aż wreszcie, za sprawą ks. kanclerza Mikołaja Kuczkowskiego, znalazłem się w pałacu biskupim przy ul. Franciszkańskiej 3.

W mojej lekturze i studium zawsze starałem się harmonijnie łączyć sprawy wiary, sprawy myślenia i sprawy serca. To nie są osobne obszary. Każdy przenika i ożywia pozostałe. W tym przenikaniu się wiary, myśli i serca szczególną rolę odgrywa zdumienie nad cudem osoby — nad podobieństwem człowieka do Boga jedyne w Trójcy, nad najgłębszym związkiem miłości i prawdy, daru wzajemnego i życia, które z niego się rodzi, nad przemijaniem i przychodzeniem ludzkich pokoleń.

Dzieci i młodzież

Osobne miejsce w tej refleksji trzeba poświęcić dzieciom i młodzieży. Oprócz spotkań z nimi podczas wizytacji były jeszcze inne. Zawsze moją szczególną uwagą cieszył się świat studencki. Mam wiele pięknych wspomnień związanych z duszpasterstwem uniwersyteckim, ku któremu kierował mnie sam charakter Krakowa, miasta tradycyjnie uważanego za centrum akademickie. Było bardzo wiele okazji do spotkań: od konferencji i dyskusji, po dni skupienia i rekolekcje. Oczywiście utrzymywałem też ściśle kontakty z kapłanami, którym zostało powierzone duszpasterstwo w tym sektorze.

Komuniści zlikwidowali wszystkie przedwojenne katolickie stowarzyszenia młodzieżowe. Trzeba więc było szukać sposobu, żeby tę stratę wyrównać. I tu

znalazł się ks. Franciszek Blach-nicki, dziś już sługa Boży. Zainicjował on tak zwany „Ruch oazowy”. Bardzo się z tym ruchem związałem i usiłowałem go wspierać na różne sposoby. Broniełem przed władzami komunistycznymi, wspierałem finansowo i brałem udział w spotkaniach. Gdy przychodziły wakacje, stale bywałem na tzw. „oazach”, czyli na letnich zgrupowaniach młodzieży należącej do wspomnianego ruchu. Przemawiałem, rozmawiałem z nimi, śpiewałem z nimi piosenki przy ognisku, chodziłem po górach. Nierzadko celebrowałem Msze św., często pod gołym niebem. Wszystko to stanowiło realizację intensywnego programu duszpasterskiego. Podczas pielgrzymki do mego Krakowa w 2002 roku oazowicze śpiewali piosenkę:

„Pan kiedyś stanął nad brzegiem. Szukał ludzi gotowych pójść za Nim, by łowić serca słów Bożych prawdę.

O Panie, to Ty na mnie spojrzales, Twoje usta dziś wyrzekły me imię. Swoją barkę pozostawiam na brzegu. Razem z Tobą nowy zacząć dziś łów”.

Powiedziałem im wtedy, że ta oazowa pieśń niejako wyprowadziła mnie z Ojczyzny do Rzymu. Jej głęboka treść była mi wsparciem, kiedy stanąłem wobec decyzji konklawe. A potem nie rozstawałem się z tą pieśnią w ciągu całego pontyfikatu. Zresztą stale mi ją przypominano, nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach świata. Zawsze przypominała mi ona moje biskupie spotkania z młodzieżą. Oceniam bardzo pozytywnie to wielkie doświadczenie. Przyniosłem je ze sobą do Rzymu. Tu także szukałem jakiegoś jego spożytkowania, stwarzając okazje do spotkań z młodymi. Światowe Dni Młodzieży wyrastają poniekąd z tamtego doświadczenia.

Drugim ruchem młodzieżowym był tzw. „Sacrosong”. Był to rodzaj festiwalu muzyki i piosenki religijnej, któremu towarzyszyła modlitwa i refleksja. Spotkania odbywały się w różnych miejscach w Polsce i przyciągały dużo młodzieży. W nich także

uczestniczyłem i trochę pomagałem finansowo w ich organizacji. Dobrze wspominam te spotkania. Zawsze lubiłem śpiewać. Mówiąc prawdę, śpiewałem właściwie przy każdej możliwej okazji. Najwięcej jednak i najchętniej śpiewałem właśnie z młodzieżą. Teksty bywały różne, zależnie od okoliczności: przy ognisku były to pieśni ludowe, harcerskie, a z racji świąt narodowych, rocznicy wybuchu wojny czy powstania warszawskiego, śpiewało się teksty żołnierskie i patriotyczne. Spośród nich szczególnie lubię Czerwone maki na Monte Cassino, Pierwszą brygadę, w ogóle piosenki powstańcze i partyzanckie.

Rytm roku liturgicznego w inny sposób określa charakter tego śpiewania. Na Boże Narodzenie zawsze śpiewa się w Polsce dużo kolęd, a przed Wielkanocą - pieśni pasyjne. Te staropolskie pieśni zawierają całą chrześcijańską teologię. Stanowią skarb żywej tradycji przemawiający do serc każdego pokolenia, kształtujący wiarę. W maju i październiku oprócz pieśni maryjnych śpiewamy w Polsce litanie i godzinki. Nie sposób wymieniść wszystko. Jakież bogactwo tkwi w tej ludowej poezji śpiewanej do dzisiejszego dnia! Jako biskup starałem się pielęgnować te zwyczaje, a młodzież była szczególnie chętna, by podtrzymywać

tradycję. Sądę, że razem dużo korzystaliśmy z tego skarbcza prostej i głębokiej wiary, jaki ojcowie zawarli w pieśniach.

18 maja 2003 roku było mi dane kanonizować Matkę Urszulę Ledóchowską, wielką wychowawczynię. Urodziła się w Austrii, ale pod koniec XIX wieku cała rodzina przeprowadziła się do Lipnicy Murowanej w diecezji tarnowskiej. Przez kilka lat mieszkała także w Krakowie. Jej rodzona siostra Maria, zwana Matką Afryki", została beatyfikowana. Brat Włodzimierz był generałem jezuitów. Przykład tego rodzeństwa wskazuje, że pragnienie świętości rozwija się ze szczególną mocą, jeżeli znajduje odpowiedni klimat w dobrej rodzinie. Ileż zależy od środowiska rodzinnego! Święci rodzą i wychowują świętych!

Kiedy wspominam takich wychowawców, spontanicznie myślę o dzieciach. Zawsze, podczas wszystkich wizytacji, także tych, które odbywają się tu w Rzymie, usiłowałem i usiłuję znaleźć czas na spotkanie z dziećmi. Nie przestawałem też zachęcać księży, by hojnie poświęcali im czas w konfesjonale. Jest szczególnie ważne, by dobrze formować sumienia dzieci i młodzieży. Niedawno przypominałem o konieczności godnego przyjmowania Komunii świętej (por. Ecclesia de Eucharistia, 37), a tego rodzaju postawę kształtuje się już od spowiedzi przed pierwszą Komunią. Każdy z nas z pewnością jest w stanie ze wzruszeniem wspomnieć własną pierwszą dziecięcą spowiedź.

Wzruszające świadectwo miłości pasterskiej wobec dzieci dał mój poprzednik św. Pius X, przez decyzję dotyczącą pierwszej Komunii świętej. Nie tylko obniżył wiek konieczny, by móc przystąpić do Stołu Pańskiego, z czego i ja skorzystałem w maju 1929 roku, ale także otworzył możliwość przyjęcia Komunii świętej jeszcze przed ukończeniem siódmego roku życia, jeśli dziecko wykazuje wystarczające rozeznanie. Duszpasterska decyzja ówczesnej Komunii świętej warta jest pochwały i przypomnienia. Przyniosła wiele owoców świętości i apostołstwa wśród dzieci, sprzyjając także rozwijaniu się powołań kapłańskich. Zawsze towarzyszyło mi przekonanie, że nie uda nam się dobrze wychować dzieci bez modlitwy. Jako biskup starałem się zachęcać rodziny i wspólnoty parafialne, aby wyrabiały w dzieciach pragnienie spotkania z Bogiem na prywatnej modlitwie. W tym duchu niedawno pisałem: „Modlitwa różańcowa za dzieci, a jeszcze bardziej z dziećmi, stanowi pomoc duchową, której nie należy lekceważyć” (Rosañum Wirginis Mariae, 42).

Duszpasterstwo dzieci trzeba oczywiście kontynuować w wieku ich dorastania. Częsta spowiedź i kierownictwo duchowe pomaga młodzieży w rozeznawaniu życiowego powołania i chroni ją przed pogubieniem się przy wchodzeniu w dorosłe życie. Pamiętam, że w listopadzie 1964 roku, podczas prywatnej audiencji, papież Paweł VI powiedział do mnie: „Bo dzisiaj, drogi bracie, my musimy bardzo się troszczyć o młodzież uczącą się. Główne zadanie naszego duszpasterstwa biskupiego to księża, robotnicy i studenci”. Sądę, że słowa te podyktowało osobiste doświadczenie. Sam przecież Giovanni Battista Montini, kiedy pracował w Sekretariacie Stanu, był przez wiele lat zaangażowany w duszpasterstwo akademickie jako Asystent Generalny Katolickiej Federacji

Uniwersyteckiej we Włoszech (FUCI -Federazione Vniversitaria Cattolica Italiana).

Katecheza

Zostało nam powierzone zadanie, by iść i nauczać wszystkie narody (por. Mt 28, 19). W dzisiejszych realiach społecznych możemy to zadanie wypełniać przede wszystkim przez katechezę. Ma się ona rodzić z przemyślenia Ewangelii, ale także ze zrozumienia spraw tego świata. Trzeba rozumieć doświadczenia ludzi i język, jakim się ze sobą porozumiewają. To jest wielkie zadanie Kościoła. Trzeba, by zwłaszcza duszpasterze byli hojni w zasiewie, choć potem inni będą zbierać owoce ich trudu. „Oto powiadam wam: Podnieście oczy i popatrzcie na pola, jak się bielą na żniwo. Żniwiarz otrzymuje już zapłatę i zbiera plon na życie wieczne, tak iż siewca cieszy się razem ze żniwiarzem. Tu bowiem okazuje się prawdziwym powiedzenie: Jeden siewca, a drugi zbiera. Ja was wysiałem, abyście żeli to, nad czym wy się nie natrudziliście. Inni się natrudzili, a wy w ich trud weszli-ście" (Ł 4, 35-38).

Wiemy dobrze, że katecheza nie może posługiwać się jedynie pojęciami abstrakcyjnymi. Oczywiście są one konieczne, bo gdy mówimy o rzeczywistościach nadprzyrodzonych nie można uniknąć pojęć filozoficznych. Katecheza jednak ustawia na pierwszym miejscu człowieka i spotkanie z nim w znakach i symbolach wiary. Katecheza to zawsze jest miłość i odpowiedzialność — odpowiedzialność, która rodzi się z miłości dla tych, których spotykamy w drodze.

Nowy Katechizm Kościoła Katolickiego, który został mi przedłożony do zatwierdzenia w 1992 roku, zrodził się z pragnienia, by język wiary był bardziej przystępny i zrozumiały dla współczesnych ludzi. Znacząca jest już wymowa obrazu Dobrego Pasterza umieszczonego jako „logo” na okładce wszystkich wydań Katechizmu. Rysunek ten pochodzi z płyty nagrobnej z III wieku, znajdującej się w rzymskich katakumbach Domitylli. Jak to zostało wyjaśnione, ta figura „sugeruje całościowe znaczenie Katechizmu: Chrystus Dobry Pasterz, który swoim autorytetem (laska) prowadzi i strzeże swoich wiernych (owce), przyciąga ich melodyjną symfonią prawdy (flet) oraz pozwala im spocząć w cieniu «drzewa życia», swego odkupieńczego Krzyża, który otwiera na nowo raj” (por. komentarz do „logo” na okładce Katechizmu). Z tego obrazu można odczytać troskę Pasterza o każdą owcę. Jest to troska pełna cierpliwości, jakiej potrzeba, by dotrzeć do poszczególnego człowieka w sposób dla niego zrozumiały. Jest tu również dar języków, to znaczy dar przemawiania w języku zrozumiałym dla naszych wiernych. O ten dar możemy błagać Ducha Świętego. Czasami biskup łatwiej dociera do dorosłych błogosławiąc ich dzieci i poświęcając im trochę czasu. Jest to czasem cenniejsze, niż długi wywód o

szacunku wobec słabego człowieka. Dzisiaj potrzeba wiele wyobraźni, żebyśmy się nauczyli rozmawiać o wierze i o sprawach najbardziej fundamentalnych dla człowieka. Potrzeba zatem wielu kochających i myślących ludzi, bo wyobraźnia żyje z miłości i z myśli, i sama karmi naszą myśl i rozpala miłość.

Caritas

Do obowiązków pasterza należy także troska o najmniejszych w ewangelicznym rozumieniu tego słowa. Już w Dziejach Apostolskich i w Listach św. Pawła czytamy o zbiórkach organizowanych przez Apostołów, aby wyjść naprzeciw potrzebom ubogich. Pragnę tu przywołać przykład św. Mikołaja, biskupa z Miry w Azji Mniejszej w IV wieku. W nabożeństwie do tego świętego, który był biskupem w czasie, gdy chrześcijanie Wschodu i Zachodu nie byli jeszcze podzieleni, spotykają się obie tradycje: wschodnia i zachodnia. W jednej i drugiej doznaje on przecież czci. Jego postać, choć odziana w wiele legend, wciąż fascynuje, zwłaszcza dobrocią. Zwracają się do niego z ufnością przede wszystkim dzieci.

Ile spraw materialnych można załatwić, gdy się zaczyna od ufnej modlitwy! Jako dzieci czekaliśmy wszyscy na św. Mikołaja i na dary, jakie nam przynosił. Komuniści chcieli go pozbawić świętości, więc wymyślili „Dziadka Mroza”. Niestety, ostatnio także na Zachodzie Mikołaj stał się popularny w kontekście konsumpcyjnym. Wydaje się, że dziś zapomniano o tym, że jego dobroć i hojność były przede wszystkim miarą jego świętości. On przecież wyróżniał się jako święty biskup, troskliwy o biednych i potrzebujących. Pamiętam, że jako dziecko miałem do niego osobiste odniesienie. Oczywiście, jak każde dziecko, oczekiwałem na dary, jakie miał mi przynieść 6 grudnia. To oczekiwanie jednak miało również wymiar religijny. Tak jak moi rówieśnicy, żywiłem cześć dla tego świętego, który bezinteresownie obdarowuje ludzi prezentami, a przez to okazuje im pełną miłości troskę.

W rzeczywistości Kościoła rolę św. Mikołaja, czyli tego, który troszczy się o potrzeby najmniejszych, pełni instytucja o nazwie Caritas. Komuniści rozwiązali tę organizację, której protektorem był po wojnie kardynał Sapieha. Jako jego następca starałem się przywrócić ją do życia i wspierać jej działalność. Dużo mi w tej dziedzinie pomógł ks. infułat Ferdynand Machay, archiprezbiter kościoła Mariackiego w Krakowie. Przez niego poznałem wspomnianą już służebnicę Bożą Hannę Chrzanowską, córkę wielkiego profesora Ignacego Chrzanowskiego, aresztowanego na początku wojny. Dobrze go pamiętam, choć nie było mi dane bliżej go poznać. Dzięki zaangażowaniu Hanny Chrzanowskiej powstało i ukształtowało się w archidiecezji duszpasterstwo chorych. Różne były jego inicjatywy - między innymi rekolekcje dla chorych w Trzebini. To było zawsze

duże przedsięwzięcie, które okazało się bardzo cenne: wielu ludzi było w nie zaangażowanych, także wielu młodych, gotowych do pomocy.

W Liście apostołskim na początek nowego tysiąclecia przypomniałem wszystkim o potrzebie kształtowania twórczej miłości. „Potrzebna jest dziś nowa «wyobraźnia miłosierdzia»" (Novo millennio ineunte, 50). Jak nie wspomnieć w tym kontekście tej, którą znamy jako prawdziwą „Misjonarkę Miłosierdzia”, Matki Teresy.

Już w pierwszych dniach po wyborze na Stolicę Piotrową spotkałem tę małą, wielką siostrę, która odtąd często do mnie przychodziła, żeby mi powiedzieć, gdzie i kiedy udało się jej otworzyć nowe domy, ogniska opieki nad najbiedniejszymi. Po upadku partii komunistycznej w Albanii dane mi było nawiedzić ten kraj. Była tam również Matka Teresa. Albania to przecież była jej ojczyzna. Spotkałem ją jeszcze wiele razy, odbierając coraz to nowe świadectwa jej pełnego pasji oddania sprawie najuboższych wśród ubogich. Matka Teresa zmarła w Kalkucie, pozostawiając po sobie czułą pamięć i dzieło wielkiej rzeszy jej duchowych córek. Już za jej życia wielu uważało ją za świętą. Za taką została powszechnie uznana, gdy zmarła. Dziękuję Bogu, że dane mi było beatyfikować ją w październiku 2003 roku, w czasowej bliskości 25-lecia pontyfikatu. Mówiłem wtedy: „Świadectwo życia Matki Teresy przypomina wszystkim, że ewangelizacyjna misja Kościoła dokonuje się poprzez miłość, karmiona modlitwą i słuchaniem Słowa Bożego. Bardzo wymownie ten styl misjonarski przedstawia obraz ukazujący nową błogosławioną, która jedną ręką trzyma dziecko, a w drugiej przesuwa paciorki różańca. Kontemplacja i działanie, ewangelizacja i promocja człowieczeństwa; Matka Teresa głosi Ewangelię swoim życiem w całości ofiarowanym ubogim, ale jednocześnie w całości spowitym modlitwą" (19 października 2003 r.). Oto tajemnica ewangelizacji przez miłość człowieka płynącą z miłości Boga. Na tym polega owa caritas, która winna inspirować biskupa w każdym działaniu.

Część IV

Ojcostwo biskupa

„Zginam kolana moje przed Ojcem,
od którego bierze nazwę wszelki
ród na niebie i na ziemi”

(Ef 3, 14-15)

Współpraca ze świeckimi

Świeccy, realizując swoje powołanie w świecie, mogą osiągać świętość nie tylko przez czynne zaangażowanie na rzecz biednych i potrzebujących, ale także ożywiając społeczeństwo duchem chrześcijańskim, przez wypełnianie swych obowiązków zawodowych i świadectwo przykładowego życia rodzinnego. Mam na myśli nie tylko tych, którzy zajmują czołowe stanowiska w życiu społecznym, ale wszystkich, którzy potrafią przemieniać swoją codzienność w modlitwę, stawiając Chrystusa w centrum swojej działalności. On sam przyciągnie wszystkich do siebie, zaspokajając ich łaknienie i pragnienie sprawiedliwości (por. Mt 5, 6).

Czy nie taka właśnie nauka płynie z zakończenia przypowieści o dobrym Samarytaninie (por. Łk 10, 34-35)? Dokonawszy wstępnego opatrzenia ran, Samarytanin zwrócił się do właściciela gospody, aby miał pieczę nad rannym. Jak by sobie poradził bez niego? W rzeczywistości właściciel gospody, pozostając w ukryciu, wykonał największą część pracy. Wszyscy mogą działać jak on, wykonując w duchu służby swoje zadania. Każda praca, w sposób mniej lub bardziej bezpośredni, daje okazję, aby pomagać potrzebującym. Oczywiście, tak jest nade wszystko w przypadku pracy lekarza, nauczyciela, przedsiębiorcy, którzy nie zamykają oczu na potrzeby innych. Ale również urzędnik, pracownik fizyczny, rolnik mogą znaleźć wiele możliwości służenia bliźniemu, być może pośród własnych trudności, czasem nawet poważnych. Wierne wypełnienie własnych obowiązków zawodowych już jest realizacją miłości wobec jednostek i wobec społeczeństwa.

Biskup, ze swej strony, jest powołany do tego, żeby nie tylko sam pobudzał i tworzył tego rodzaju społeczne inicjatywy chrześcijańskie, ale żeby pozwolił powstawać i rozwijać się w jego Kościele dobrym dziełom zainicjowanym przez inne osoby. Ma tylko czuwać, żeby wszystko działo się w miłości i w wierności wobec Chrystusa, „który nam w wierze przewodzi i \q wydoskonala” (Hbr 12, 2). Trzeba ludzi szukać, ale trzeba też pozwolić każdemu, kto okazuje dobrą wolę, znaleźć się we wspólnym domu Kościoła.

Jako biskup popierałem wiele inicjatyw wiernych świeckich. Były one bardzo różne, jak np. Duszpasterstwo Rodzin, wspólne seminaria kleryków ze

studentami medycyny nazywane „Kler--med”, Instytut Rodziny. Przed wojną była aktywna Akcja Katolicka z jej czterema gałęziami: męska, żeńska oraz młodzież męska i żeńska. Teraz w Polsce się ona odradza. Byłem również przewodniczącym Komisji Apostolstwa Świeckich w Episkopacie Polskim. Popierałem pismo katolickie „Tygodnik Powszechny” i starałem się dodawać odwagi gromadzącemu się wokół niego środowisku. Wtedy było to niezwykle potrzebne. Przychodzili do mnie redaktorzy, uczeni, lekarze, artyści... Czasem wchodzili po kryjomu, gdyż były to czasy dyktatury komunistycznej. Organizowało się też różne sympozja - dom był niemal zawsze zajęty, pełen życia. A siostry sercanki musiały wszystkich wyżywić...

Popierałem też różne nowo powstające inicjatywy, w których odnajdywałem tchnienie Bożego Ducha. Jednak z Drogą Neokatechumenalną dopiero w Rzymie się spotkałem. Podobnie było z Opus Dei, które erygowałem w 1982 roku jako prałaturę personalną. To dwa fenomeny w Kościele budzące wielkie zaangażowanie świeckich. Obie te inicjatywy wyszły z Hiszpanii, która tylekroć w dziejach Kościoła dawała opatrnościowe impulsy duchowej odnowy. W październiku 2002 roku dane mi było włączyć w poczet świętych Josemarię Escrivę de Balaguera, założyciela Opus Dei, żarliwego kapłana, apostoła świeckich na nowe czasy.

W latach mojego posługiwania w Krakowie zawsze czułem duchową bliskość członków Dzieła Maryi, Focolarinów. Podziwiałem ich aktywną działalność apostolską, zmierzającą do tego, aby Kościół stawał się coraz bardziej „domem i szkołą komunii”. Od czasu mego przybycia do Rzymu niejednokrotnie przyjmowałem w Castel Gandolfo panią Chiare Lubich wraz z reprezentantami licznych gałęzi Ruchu Focolari. Z żywotności Kościoła we Włoszech zrodził się też ruch *Communione e Libe-razione*. Jego promotorem jest ks. prałat Luigi Giussani. Wiele jest w świecie ludzi świeckich inicjatyw, które poznałem w ostatnich latach. Myślę, na przykład, biorąc środowisko francuskie, o UArche i o Foi et lumiere Jeana Vaniera. Są jeszcze inne, ale nie sposób je wszystkie wyliczyć. Ograniczę się do powiedzenia, że wspieram je i że są one obecne w mojej modlitwie. Wiążę z nimi wielkie nadzieje, pragnąc, by w ten sposób wypełniało się ewangeliczne wezwanie: „Idźcie i wy do mojej winnicy” (Mt 20, 4). Jak bowiem pisałem w *Adhortacji Chństifideles laici*: „To wezwanie dotyczy nie tylko biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnice, ale wszystkich, także świeckich, których Bóg wzywa osobiście, powierzając im do spełnienia misję w Kościele i w świecie” (n. 2).

Współpraca z zakonami

Zawsze bardzo dobrze żyłem z zakonami i współpracowałem z nimi. Kraków jest chyba największym w Polsce skupiskiem zakonów, żeńskich i męskich. Wiele z

nich tam powstało, wiele znalazło przystań, jak np. felicjanki, które przywędrowały z ówczesnego Królestwa. Trzeba tu wspomnieć bł. Honorata Koźmińskiego, który założył wiele żeńskich zgromadzeń bezhabitu-wych - owoc jego gorliwej pracy w konfesjonale. Pod tym względem to był geniusz. Bł. Matka Angela Truszkowska, założycielka felicjanek, która u nich spoczywa w Krakowie, też działała pod jego kierunkiem. Warto podkreślić, że w Krakowie najwięcej jest rodzin zakonnych dawnych, średniowiecznych - jak franciszkanie i dominikanie, czy z czasów późniejszych - jak jezuita czy kapucyni. Zakonnicy z tych rodzin słyną jako wielcy spowiednicy, także spowiednicy księży (w Krakowie księża chętnie spowiadają się u kapucynów). Wiele zakonów znalazło się w czasach zaborów w archidiecezji, bo, nie mogąc się rozwijać w Królestwie, przybywały na terytorium ówczesnej Rzeczypospolitej Krakowskiej, gdzie mogły cieszyć się względną wolnością. Najlepszym dowodem, że moje kontakty z zakonami były dobre, jest biskup Albin Małysiak ze zgromadzenia księży misjonarzy. Był gorliwym proboszczem w Krakowie-Nowej Wsi, a potem został biskupem. To ja wysunąłem jego kandydaturę - jego i Stanisława Smoleńskiego. Obu też konsekrowałem.

Zakony nie utrudniały mi życia. Ze wszystkimi miałem dobre kontakty, uznając w nich wielką pomoc w misji biskupa. Mam tu na myśli także to wielkie zaplecze duchowe, jakie stanowią zakony kontemplacyjne. W Krakowie są dwa Karmele, przy ul. Kopernika i przy ul. Łobzowskiej, są klaryski, dominikanki, wizytki i benedyktynki w Staniątkach. Wielkie centra modlitwy: modlitwa i pokuta, a także katechizacja. Pamiętam, że kiedyś mówiłem mniszkom klauzurowym: „Niech ta krata łączy was ze światem, a nie dzieli, otoczcie płaszczem modlitwy glob ziemski”. Jestem przekonany, że nieustannie, na całym globie ziemskim, te drogie siostry mają świadomość swego istnienia dla świata i nie przestają służyć Kościołowi powszechnemu przez swe oddanie, milczenie i głęboką modlitwę.

Wielkie oparcie może w nich znaleźć każdy biskup. Doświadczyłem tego wielokrotnie, kiedy, stając wobec trudnych problemów, prosiłem poszczególne zakony kontemplacyjne o modlitewne wsparcie. Czułem moc tego wstawiennictwa i wielokrotnie dziękowałem tym osobom skupionym w wieczernikach modlitwy, że pomogły mi rozwiązać sprawy po ludzku beznadziejne.

Urszulanki miały w Krakowie internat. Matka Angela Kur-pisz zawsze mnie zapraszała na rekolekcje dla studentek. Bywałem często u szarych urszulanek na Jaszczurówce. Co roku korzystałem z ich gościny. Ukształtowała się taka tradycja, że w Nowy Rok o północy odprawiałem Mszę św. u franciszkanów w Krakowie, a rano jechałem do urszulanek do Zakopanego i szedłem na narty. W tym czasie zwykle był śnieg. Zostawałem więc u nich aż do 6 stycznia. Tego dnia po południu wyjeżdżałem, żeby zdążyć na wieczór do Katedry w Krakowie na Mszę św. o godz. 18.00. Potem było spotkanie kolędowe na Wawelu. Pamiętam, że raz będąc na nartach chyba z księdzem Józefem Rozwadowskim (późniejszym biskupem łódzkim) pobłądziliśmy gdzieś w okolicy Doliny Chochołowskiej.

Musieliśmy potem pędzić - jak zwykło się mówić - „jak wariaci”, aby zdążyć na czas.

Często też na dni skupienia chodziłem do sióstr albertynek na Prądniku Czerwonym. Bardzo było mi u nich dobrze. Bywałem również w Rząsce pod Krakowem. Z małymi siostrami Karola de Foucauld żyłem w przyjaźni, znałem je i współpracowałem z nimi.

Wiele czasu spędziłem w Tyńcu. Odprawiałem tam swoje rekolekcje. Znałem dobrze ojca Piotra Rostworowskiego, u którego nieraz się spowiadałem. Znam też ojca Augustyna Jankow-skiego, biblistę, który był moim kolegą jako profesor. Stale mi przysyła swoje nowe książki. Do Tyńca albo do ojców kamedu-łów na Bielany jeździłem na dni skupienia. Jako młody ksiądz prowadziłem na Bielanych rekolekcje dla studentów od św. Floriana i pamiętam, jak raz poszedłem w nocy do kościoła. Ku memu zaskoczeniu zastałem tam studentów i wiedziałem, że mieli zamiar trwać tam nieprzerwanie - wymieniając się - przez całą noc.

Zakony służą Kościołowi i biskupowi także. Trudno nie doceniać ich świadectwa wiary opartego o śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, i ich stylu życia według reguły ułożonej przez założyciela czy założycielkę: dzięki tej wierności, różne rodziny zakonne mogą realizować pierwotny charyzmat i sprawić, aby owocował on w przyszłych pokoleniach. Nie można też zapominać o przykładzie braterskiej miłości, która leży u podstaw każdej zakonnej wspólnoty. To ludzkie, że od czasu do czasu, może pojawić się jakiś problem, ale zawsze można znaleźć rozwiązanie, jeśli biskup potrafi wsłuchać się w to, co ma do powiedzenia wspólnota, szanując jej autonomię, i jeśli wspólnota ze swej strony będzie zdolna faktycznie uznać w biskupie ostatecznie odpowiedzialnego za duszpasterstwo na terytorium diecezji.

Prezbiterium

Powołań w Archidiecezji Krakowskiej było dość dużo, a niektóre lata były szczególnie obfite. Na przykład po październiku 1956 roku prośby o przyjęcie do seminarium były szczególnie liczne. Tak też było w czasie Milenium chrztu Polski. To chyba taka prawidłowość, że po wielkich wydarzeniach jest więcej powołań. Rodzą się one przecież na gruncie konkretnego życia całego Ludu Bożego. Kardynał Sapięha mówił, że seminarium to jest pupilla oculi - źrenicą oka biskupa, tak samo jak nowicjat dla przełożonego zakonnego. Łatwo to zrozumieć: powołania są przyszłością diecezji, zakonu, a ostatecznie przyszłością Kościoła. Osobiście dbałem o seminaria szczególnie. Również teraz codziennie modlę się za Seminarium Rzymskie i w ogóle za wszystkie seminaria na terenie Rzymu, w całej Italii, w Polsce i na świecie.

Modłę się zwłaszcza za seminarium w Krakowie. Stamtąd wyszedłem i przynajmniej w ten sposób pragnę spłacać dług wdzięczności. Gdy byłem biskupem krakowskim, starałem się w sposób szczególny troszczyć o powołania. Kiedy przychodził koniec czerwca, zawsze pytałem, ilu kandydatów zgłosiło się na rok następny. Potem, gdy już byli w seminarium, spotykałem się z każdym z osobna, rozmawiałem, zasięgałem wiadomości o rodzinie i razem ocenialiśmy prawdziwość powołania. Zapraszałem też kleryków na poranną Mszę św. w mojej kaplicy, a potem na śniadanie. To była bardzo dobra okazja, aby ich poznawać. Również wigilię Bożego Narodzenia spędzałem w seminarium albo zapraszałem kleryków do siebie na ul. Franciszkańską. Nie wyjeżdżali na Święta do rodzin i chciałem im jakoś wynagrodzić ten brak. To wszystko mogło mieć miejsce, gdy byłem w Krakowie. W Rzymie jest trudniej, gdyż seminaria są liczne. Odwiedziłem jednak wszystkie osobiście i, gdy nadarzyła się sposobna okazja, zapraszałem też do Watykanu rektorów.

Biskup nie może zaniedbywać przedstawiania młodym wielkiego ideału kapłaństwa. Młode serce jest w stanie zrozumieć taką „szaloną miłość”, która wymaga całkowitego oddania. Nie ma miłości ponad Miłość, tę pisaną przez duże M! Podczas ostatniej pielgrzymki do Hiszpanii zwierzyłem się młodzieży: „Zostałem wyświęcony, mając 26 lat. Minęło lat 56. Wracając pamięcią do tych lat, mogę was zapewnić, że warto poświęcić się sprawie Chrystusa i przez miłość do Niego poświęcić się służbie człowiekowi. Warto oddać życie za Ewangelię i za braci!” (Madryt, 3 maja 2003 r.). Młodzi zrozumieli przesłanie i odpowiedzieli na moje słowa chóralnie skandując, jak refren: „Warto! Warto!”

Troska o powołania wyraża się także przez właściwy wybór kandydatów do kapłaństwa. Biskup powierza wiele związanych z tym zadań swoim współpracownikom, wychowawcom seminaryjnym, ale sam ponosi największą odpowiedzialność za formację kapłanów. To biskup wybiera i powołuje w imieniu Chrystusa, ostatecznie wtedy, kiedy podczas święceń mówi: „Z pomocą Pana Boga i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, wybieramy tych naszych braci na urząd kapłana” (Pontyfikat rzymski, Święcenia prezbiterów). Wielka odpowiedzialność. Święty Paweł przestrzega Tymoteusza: „Na nikogo rąk pośpiesznie nie nakładaj” (1 Tm 5, 22). Nie chodzi o jakąś szczególną surowość, ale o zwyczajne poczucie odpowiedzialności w imię rzeczy największej, jaką naszym rękom powierzono. W imię daru i tajemnicy zbawienia zostały ustanowione wysokie wymagania związane z kapłaństwem.

Chcę tu wspomnieć św. Józefa Sebastiana Pelczara (1842— 1924), biskupa diecezji przemyskiej, którego dane mi było kanonizować w dniu moich osiemdziesiątych trzecich urodzin razem z już wspomnianą św. Urszulą Ledóchowską. Św. Biskup Pelczar znany był w Polsce również dzięki swej twórczości. Pragnę tu wspomnieć jego książkę: Rozmyślenia o życiu kapłańskim, czyli ascetyka kapłańska. Dzieło to zostało wydane w Krakowie, kiedy był jeszcze profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego (kilka miesięcy temu, wyszło jej nowe wydanie). Książka ta jest owocem jego bogatego życia wewnętrznego i

głęboko wpłynęła na całe pokolenia kapłanów polskich, zwłaszcza w moich czasach. W jakiś sposób i moje kapłaństwo zostało ukształtowane przez to dzieło ascetyczne.

Tarnów i sąsiedni Przemyśl należą do tych diecezji, które w skali światowej wydają największą liczbę powołań. W diecezji tarnowskiej długie lata był ordynariuszem mój przyjaciel, arcybiskup Jerzy Ablewicz. Wywodził się z Przemyśla, z duchowego dziedzictwa św. Józefa Pelczara. To Pasterze, którzy stawiali bardzo wysokie wymagania, najpierw sobie, a potem swoim księżom i klerykom. Sądzę, że tu tkwi tajemnica wielości powołań w tych diecezjach. Młodych pociągają wymagania i wysokie ideały.

Zawsze leżała mi na sercu jedność prezbiterium. W tym celu, dostrzegając konieczność kontaktu z księżmi, ustanowiłem zaraz po Soborze, w roku 1968, Radę Kapłańską, która dyskutowała nad programami duszpasterskiej działalności kapłanów. Każdego roku, co jakiś czas, w różnych regionach archidiecezji były organizowane spotkania, podczas których rozważano konkretne problemy, jakie wysuwali księża.

Własnym stylem życia biskup pokazuje, że „wzorzec Chrystusowy” nie przeżył się, że jest ciągle aktualny, także i w dzisiejszych warunkach. Można powiedzieć, że diecezja odzwierciedla sposób bycia jej biskupa. Jego cnoty - jego czystość, praktyka ubóstwa, prostota, jego wrażliwość sumienia — zapisują się niejako w sercach kapłanów. A potem te wartości przekazują oni powierzonym im wiernym - i tak młodzi ludzie są pociągani do wielkodusznego odpowiadania na Chrystusowe wezwanie.

Mówiąc o tej trosce, nie sposób nie wspomnieć o tych, którzy porzucili kapłaństwo. Również o nich biskup nie może zapomnieć - również oni mają prawo do miejsca w sercu biskupa. Ich dramaty czasami wskazują na zaniedbania formacji kapłańskiej. Do formacji kapłańskiej należy również, jeśli zachodzi taka potrzeba, odważne dawanie upomnienia braterskiego, a także gotowość — ze strony kapłana - do przyjęcia takiego upomnienia. Chrystus mówi do swoich uczniów: „Gdy brat twój zgrzeszy (|||), idź i upomnij go w cztery oczy. Jeśli cię usłucha, pozyskasz swego brata” (Mt 18, 15).

Dom biskupi

Nie tylko wizytacje i inne publiczne wystąpienia dawały okazję do spotkań z ludźmi. Dom przy ulicy Franciszkańskiej 3 był otwarty dla wszystkich. Biskup jest pasterzem. Właśnie dlatego ma być z ludźmi, być dla ludzi, służyć ludziom. Ludzie mieli do mnie zawsze bezpośredni dostęp, otwarte drzwi dla wszystkich.

Dom biskupi był miejscem różnych spotkań, sesji naukowych. Był też miejscem, gdzie rozwijało się „Studium dla Rodziny”. W jednym z pokoi została otworzona poradnia rodzinna. Były to przecież czasy, kiedy wszelkie większe spotkania

świeckich władze traktowały jako działalność antypaństwową. Dom biskupi stał się miejscem schronienia. Zapraszałem różne osoby - naukowców, filozofów, humanistów. Tu także regularnie odbywały się spotkania z księżmi. Salon służył nieraz za salę wykładową. Zbierały się w nim choćby wspomniane już: Instytut Teologii Rodziny i seminaria „Kler-med”. Dom ten, można powiedzieć, „tętnił życiem”.

Z tym krakowskim domem biskupim wiążą się liczne wspomnienia postaci mojego wielkiego poprzednika, który pozostał w pamięci pokoleń krakowskich księży jako niedościgniony świadek tajemnicy ojcostwa. „Książę niezłomny” - tak był określany

powszechnie arcybiskup Adam Stefan Sapieha. Z takim tytułem przeszedł on przez wojnę i okupację. Niewątpliwie ma swoje szczególne miejsce w historii mego powołania. On bowiem stał u początków jego rozwoju. Opowiadałem już o tym w książce Dar i Tajemnica.

Książę kardynał Sapieha był w całym tego słowa znaczenia polskim arystokratą. Urodził się w Krasiczynie pod Przemyślem. Kiedyś pojechałem tam specjalnie, by zobaczyć zamek, w którym się urodził. Został kapłanem diecezji lwowskiej. W Watykanie, przy Piusie X pełnił funkcję Cameriere segreto parteci-pante. W tym czasie bardzo wiele zrobił dla polskiej sprawy. W roku 1912 został mianowany biskupem i wyświęcony osobiście przez św. Piusa X z przeznaczeniem na stolicę krakowską. Jego ingres odbył się w tym samym roku. Było to zatem krótko przed pierwszą wojną światową. Po wybuchu wojny założył Krakowski Biskupi Komitet Pomocy dla Dotkniętych Klęską Wojny, nazywany powszechnie „Książęco-Biskupim Komitetem” (KBK). Z czasem Komitet rozwinął swoją działalność i objął cały kraj. Sapieha był niestęchanie czynny podczas wojny, zdobywając w ten sposób wielki mir w całym kraju. Został kardynałem dopiero po drugiej wojnie światowej. Od czasów Oleśnickiego byli przed nim kardynałami w Krakowie arcybiskupi Du-najewski i Puzyna. Jednak to Sapieha w szczególny sposób zasłużył sobie na tytuł „Książę niezłomny”.

Tak, Sapieha był moim wzorem, bo był przede wszystkim pasterzem. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej prosił Papieża o zwolnienie go z Krakowa, chciał bowiem przejść na emeryturę. Jednakże Pius XII nie wyraził zgody. Powiedział

mu: „Zanosi się na wojnę, będziesz potrzebny”. Umarł jako kardynał krakowski, mając 82 lata.

W kazaniu pogrzebowym Ks. Prymas Wyszyński zadał kilka znaczących pytań: „Gdy więc my, goście i przyjaciele wasi, patrzymy na was, najmilszi bracia-kapłani, jak zwartym wieńcem uczuć otaczacie tę trumnę kryjącą szczątki drobnej postaci, która nie mogła zniewalać was ani wzrostem, ani siłą fizyczną - to pragnę was zapytać dla własnego doświadczenia, dla pogłębienia własnej mądrości pasterskiej, powiedzcie nam biskupom, kapłani krakowscy, coście w nim miłowali? Co was brało za serca, coście w nim widzieli, że tej duszy, jak

Polska cała, poddaliście się? Wszak można tu mówić śmiało o powszechnej miłości kapłańskiej do swojego Arcypasterza" (Księga Sapieżyńska, Kraków 1986, s. 776). Istotnie ten pogrzeb w lipcu 1951 r. to było niesłychane wydarzenie w latach stalinowskich: szedł wielki pochód z ulicy Franciszkańskiej na Wawel - zwarte szeregi księży, zakonnic, ludzi świeckich. Szły, szły, a władze nie potrafiły przeszkodzić. Były wobec tego, co się działo, bezsilne. Może dlatego wymyślono potem proces Kurii Krakowskiej - pośmiertny proces przeciw Sapieże. Za życia komuniści nie śmieli go tknąć, choć on się z tym liczył, zwłaszcza gdy aresztowali kardynała Mindszenty'ego. Nie odważyli się.

Przy nim odbywałem moje seminarium: byłem klerikiem, a potem księdzem. Miałem do niego wielkie zaufanie i mogę powiedzieć, że go kochałem, jak go kochali inni księża. Często w książkach piszą, że Sapieha mnie w jakimś sensie przygotowywał - może to i prawda. I to jest też zadanie biskupa: przygotowywać tych, którzy ewentualnie mogliby go zastąpić.

Księża cenili go może i dlatego, że był księciem, ale kochali go przede wszystkim dlatego, że był ojcem - troszczył się o człowieka. A to jest najważniejsze, co się liczy: biskup ma być ojcem. Oczywiście żaden człowiek nie realizuje doskonale ojcostwa, bo ono realizuje się w pełni jedynie w Bogu Ojcu. Jednak my w jakiś sposób w tym ojcostwie Boga partycypujemy. Tej prawdzie dałem wyraz w medytacji o tajemnicy ojca, zatytułowanej Promieniowanie ojcostwa:

„Powiem więcej: ze zbioru słów, których używam, postanowiłem wyrzucić słowo «moje». Jakżeż mogę tak mówić czy myśleć, gdy wiem, że wszystko jest Twoje. Chociaż nie Ty rodzisz w każdym ludzkim rodzeniu, ale przecież ten, który rodzi, jest Twój. Nawet ja sam bardziej jestem Twój niż «mój». Więc zdobyłem świadomość tego, że nie wolno mi mówić «moje» na Twoje. Nie wolno mi tak mówić, myśleć, czuć. Muszę się od tego wyzwolić, z tego wyzuć - niczego nie mieć, niczego nie chcieć na własność (a «mój» to znaczy «własny»)»" (Poezje i dramaty).

Ojcostwo na wzór św. Józefa

Biskupstwo niewątpliwie jest urzędem, ale trzeba, aby biskup za wszelką cenę walczył, aby nie „zurzędniczał”. Nie może zapomnieć, że ma być ojcem. Jak powiedziałem, księżę Sapieha dlatego był tak kochany, że był dla swoich księży ojcem. Kiedy myślę o tym, kto może być pomocą i wzorem dla wszystkich powołanych do ojcostwa - w rodzinie albo w kapłaństwie, a tym bardziej w służbie biskupiej - przychodzi mi na myśl święty Józef.

Dla mnie także kult św. Józefa łączy się z doświadczeniami przeżywanymi w Krakowie. Blisko pałacu biskupiego są przy ulicy Poselskiej siostry bernardynki. Mają w swoim kościele, pod wezwaniem właśnie św. Józefa, stałe wystawienie

Najświętszego Sakramentu. Chodziłem tam w wolnych chwilach i modliłem się, a mój wzrok często wędrował w kierunku bardzo czczonego w tym kościele, pięknego obrazu przybranego ojca Jezusa. Tam też prowadziłem niegdyś rekolekcje dla prawników. Lubiłem rozważać o św. Józefie w kontekście Świętej Rodziny: Jezus, Maryja, Józef. Wzywałem ich razem do pomocy w różnych sprawach. Rozumiem dobrze tę jedność i miłość Świętej Rodziny: trzy serca, jedną miłość. Szczególnie duszpasterstwo rodzin zawierałem św. Józefowi.

W Krakowie jest jeszcze inny kościół pod wezwaniem św. Józefa, a mianowicie na Podgórzu. Bywałem tam w trakcie wizytacji. Wyjątkowe znaczenie ma natomiast sanktuarium św. Józefa w Kaliszu. Przybywają tam z pielgrzymkami dziękczynnymi księża, byli więźniowie z Dachau. Była w tym nazistowskim obozie taka grupa, która powierzyła się św. Józefowi - i zostali uratowani. Po powrocie do Polski zaczęli jeździć każdego roku w dziękczynnej pielgrzymce do Sanktuarium w Kaliszu i zawsze mnie na te spotkania zapraszali. Wśród nich jest arcybiskup Kazimierz Majdański, biskup Ignacy Jeż, a także kardynał Adam Kozłowiecki, misjonarz w Afryce.

Opatrzność przygotowała świętego Józefa do pełnienia roli ojca Jezusa Chrystusa. W poświęconej mu Adhortacji apostolskiej *Redemptoris Custos* napisałem: „Jak wynika z tekstów ewangelicznych, prawną podstawą ojcostwa Józefa było małżeństwo z Maryją. Bóg wybrał Józefa na małżonka Maryi właśnie po to, by zapewnić Jezusowi ojcowską opiekę. Wynika stąd, że ojcostwo Józefa - więź, która łączy go najściślej z Chrystusem, szczytem wszelkiego wybrania i przeznaczenia - dokonuje się poprzez małżeństwo z Maryją" (n. 7). Józef został wezwany, aby być dziewiczym małżonkiem Maryi właśnie po to, aby był ojcem dla Jezusa. Ojcostwo św. Józefa, tak jak macierzyństwo Najświętszej Maryi Panny, ma pierwszorzędny charakter chrystologiczny. Wszystkie przywileje Maryi wynikają z tego, że jest Ona Matką Chrystusa. Podobnie wszystkie przywileje św. Józefa wynikają z tego, że miał za zadanie pełnić rolę ojca Chrystusa.

Wiemy, że Chrystus zwracał się do Boga Ojca słowem *Abba* - słowem bliskim i rodzinnym, takim, jakim dzieci Jego narodu zwracają się do swoich ojców. Pewnie też, jak inne dzieci, tym samym słowem zwracał się do Józefa. Czy można powiedzieć więcej o tajemnicy ludzkiego ojcostwa? Sam Chrystus, jako człowiek, doświadczał ojcostwa Boga poprzez swoje synostwo wobec św. Józefa. Spotkanie z Józefem jako ojcem wpisało się w objawienie, które przez Chrystusa stało się objawieniem ojcowskiego imienia Boga. Głęboka to tajemnica!

Chrystus jako Bóg miał własne doświadczenie Boskiego ojcostwa i synostwa w łonie Trójcy Przenajświętszej. Jako człowiek doświadczył synostwa dzięki św. Józefowi. On ze swojej strony ofiarował Dziecku, które wzrastało u jego boku, podporę męskiej równowagi, jasnego widzenia spraw i odwagi. Służył zaletami dobrego ojca, czerpiąc siłę z tego najwyższego źródła, od którego bierze nazwę wszelkie ojcostwo na niebie i na ziemi (por. Ef 3, 15). Zarazem w tym, co

ludzkie, on sam nauczył wielu rzeczy Syna Bożego, któremu zbudował i dał na ziemi dom.

Dla św. Józefa życie z Jezusem było ciągłym odkrywaniem własnego ojcowskiego powołania. W niezwykle sposób, nie dając swojemu Synowi życia ciała, stawał się ojcem. Czyż nie taka realizacja ojcostwa została zaproponowana nam, kapłanom i biskupom, jako wzór? Właściwie wszystko, co robiłem w mojej posłudze biskupiej, przeżywałem jako wyrażanie takiego ojcostwa: Chrzest, spowiedź, Eucharystia, nauczanie, napominanie, zachęta, to było dla mnie realizacją ojcostwa.

O domu zbudowanym Synowi Bożemu przez świętego Józefa trzeba myśleć, szczególnie kiedy dotykamy tematu kapłańskiego i biskupiego celibatu. Celibat daje pełną szansę na realizację takiego ojcostwa: ojcostwa czystego, całkowicie oddanego Chrystusowi i Jego dziewiczej Matce. Kapłan wolny od osobistej troski o rodzinę, może się oddać całym sercem misji duszpasterskiej. Zrozumiała jest zatem stanowczość, z jaką Kościół obrządku łacińskiego bronił tradycji celibatu swoich kapłanów, nie ulegając naciskom, jakie w historii pojawiały się od czasu do czasu. Oczywiście jest to tradycja wymagająca, ale okazuje się, że wydała wyjątkowo obfite owoce duchowe. Jest jednak motywem radości świadomość, że również kapłaństwo żonaty w katolickim Kościele wschodnim dało wspaniałe dowody gorliwości duszpasterskiej. Szczególnie w walce z komunizmem księża żonaci byli nie mniej heroiczni jak celibatariusze. Jak to stwierdził kiedyś kardynał Józef Slipyj, wobec komunistów zachowywali się oni tak samo, jak ich koledzy celibatariusze.

Trzeba też podkreślić, że są za celibatem głębokie racje teologiczne. Encyklika *Sacerdotalis caelibatus*, którą w 1967 roku ogłosił mój czcigodny poprzednik Paweł VI, tak to mniej więcej ujmuje (por. nn. 19-34):

— Istnieje przede wszystkim motywacja chrystologiczna: Chrystus, ustanowiony Pośrednikiem między Ojcem i rodzajem ludzkim, pozostał celibatariuszem, aby całkowicie poświęcić siebie służbie Bogu i ludziom. Komu dane jest uczestniczyć w godności i misji Chrystusa jest wezwany, aby podzielał również to całkowite oddanie.

- Istnieje motywacja eklezjologiczna: Chrystus umiłował Kościół, Ciało swoje, poświęcając dla tego Kościoła całego siebie, aby sobie przysposobić Oblubienicę chwalebna, święta i nieskalana. Wybierając celibat, kapłan obiera jako własną tę dziewiczą miłość Chrystusa do Kościoła, czerpiąc z niej moc nadprzyrodzonej płodności.

- Istnieje w końcu motywacja eschatologiczna: przy zmartwychwstaniu - jak powiedział Jezus - „nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, lecz będą jak aniołowie Boży w niebie” (Mt 22, 30). Celibat kapłański zapowiada nadejście ostatecznych czasów zbawienia i w jakiś sposób antycypuje wypełnienie się Królestwa, potwierdzając, że istnieją wyższe wartości, które pewnego dnia zajaśnieją we wszystkich dzieciach Bożych.

Usiłując kontestować celibat, wysuwa się czasami argument samotności kapłana, samotności biskupa. Na podstawie mojego doświadczenia zdecydowanie oddalam ten argument. Osobiście nigdy nie czułem się samotny. Prócz świadomości bliskości Pana, również po ludzku zawsze miałem koło siebie liczne osoby, utrzymywałem wiele serdecznych kontaktów z księżmi -dziekanami, proboszczami, wikariuszami - i z osobami świeckimi każdej kategorii.

Być ze swoim ludem

Trzeba myśleć o domu, jaki św. Józef zbudował dla Syna Bożego, również wtedy, gdy mówi się o ojcowskim zobowiązaniu biskupa, by być z tymi, których mu powierzono. To diecezja jest domem biskupa. Nie tylko dlatego, że on tam właśnie pracuje i mieszka, ale w sensie o wiele głębszym: diecezja jest domem biskupa, bo jest tym miejscem, na którym ma się każdego dnia okazywać jego wierność wobec Kościoła — jego Oblubienicy. Kiedy Sobór Trydencki — wobec wcześniejszych w tej dziedzinie zaniedbań - podkreślił i opisał obowiązek przebywania biskupa w jego diecezji wyraził zarazem głęboką intuicję: biskup ma być ze swoim Kościołem we wszystkich ważnych chwilach. Nie powinien go opuszczać bez istotnej przyczyny na czas dłuższy niż miesiąc - jak dobry ojciec rodziny, który stale jest ze swoimi, a kiedy musi się z nimi rozłączyć, tęskni do nich i pragnie jak najszybciej do nich powrócić.

Wspominam w związku z tym postać wiernego biskupa tarnowskiego Jerzego Ablewicza. Księża w jego diecezji wiedzieli, że w piątki nie przyjmuje. Tego dnia bowiem pielgrzymował pieszo czternaście kilometrów do Tuchowa, do Sanktuarium Maryjnego w diecezji. Po drodze przygotowywał modlitwą niedzielne kazanie. Był znany z tego, że bardzo niechętnie opuszczał swoją diecezję. Był stale ze swoimi, najpierw w modlitwie, a potem w działaniu. Najpierw jednak w modlitwie. To z niej wyrasta i rozwija się tajemnica naszego ojcostwa. To w modlitwie stajemy jako ludzie wiary obok Maryi i Józefa, by razem z Nimi i z tymi wszystkimi, których Bóg nam powierza, budować dom dla Syna Bożego - Jego święty Kościół.

Kaplica przy Franciszkańskiej 3

Kaplica w domu arcybiskupów krakowskich jest dla mnie miejscem szczególnym. W niej zostałem wyświęcony przez kardynała Sapiechę na kapłana 1 listopada 1946 r., choć zwykłym miejscem święceń jest katedra. O miejscu i terminie moich kapłańskich święceń zaważyła decyzja ordynariusza o posłaniu mnie na studia do Rzymu.

Święty Paweł, będąc już doświadczonym Apostołem, pisze pod koniec życia do Tymoteusza: „Sam zaś ćwicz się w pobożności. Bo ćwiczenie cielesne nie na wiele się przyda; pobożność zaś przydatna jest do wszystkiego, mając obietnicę życia obecnego i tego, które ma nadejść” (1 Tm 4, 7-8). Kaplica w domu, tak blisko, na wyciągnięcie ręki, to przywilej każdego biskupa, ale jednocześnie jakże wielkie zobowiązanie. Po to kaplica jest tak blisko, żeby wszystko w życiu biskupa - nauczanie, decyzje, duszpasterstwo - zaczynało się u stóp Chrystusa utajonego w Najświętszym Sakramencie. Sam widziałem, jak tym żył arcybiskup krakowski, książe Adam Stefan Sapieha. Ksiądz Prymas kardynał Wyszyński tak o nim mówił we wspomnianym już kazaniu pogrzebowym na Wawelu: „Jeden, spośród wielu innych, rys tego życia mię zastanowił. Gdy po Konferencji Episkopatu, po całodziennej, niekiedy jakżeż nużącej pracy, wszyscy odczuwali trud i wracali do siebie, ten niezmordowany człowiek podążył do swej zimnej kaplicy i tam pozostawał w mroku nocy przed Bogiem. Jak długo? Nie wiem. Nigdy nie słyszałem, podczas późnych godzin pracy w domu arcybiskupim, powrotnych kroków Kardynała. Wiem jedno, że poważny wiek dawał mu prawo do wypoczynku. Kardynał musiał jednak trud swej pracy całodziennej zamykać jakąś złotą klamrą i zamykał go brylantem modlitwy. To był człowiek modlitwy!” (Księga Sapieżyńska, Kraków 1986, s. 776).

Usiłowałem naśladować ten niedościgniony przykład. W domowej kaplicy nie tylko się modliłem, ale także siedziałem i pisałem. Tu pisałem moje książki, wśród nich opracowanie *Osoba i czyn*. Jestem przekonany, że kaplica to miejsce, z którego pochodzi szczególne natchnienie. To ogromny przywilej móc mieszkać i pracować w przestrzeni tej Obecności. Przyciągająca Obecność - niczym potężny magnes. Mój serdeczny, już nieżyjący przyjaciel Andre Frossard, w książce *Bóg istnieje*, spotkałem Go głęboko ujął moc i piękno tej Obecności. Jednak nie zawsze konieczne jest fizyczne przyjscie do kaplicy, żeby duchowo wejść w przestrzeń Najświętszego Sakramentu. Zawsze wewnątrz odczuwałem, że to On, Chrystus, jest właścicielem mego biskupiego domu, a my, biskupi, jesteśmy tylko tymczasowymi dzierżawcami. Tak było na Franciszkańskiej przez prawie dwadzieścia lat i tak jest tu w Watykanie.

Część V

Kolegialność biskupia

"I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli,
by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki"

(Mk 3, 14)

Biskup w diecezji

Sobór Watykański II stał się dla mnie mocnym impulsem do zintensyfikowania działalności duszpasterskiej. Właściwie od tego należałoby wszystko zacząć. 3 czerwca 1963 r. zmarł papież Jan XXIII. To on zwołał Sobór, który rozpoczął się 11 października 1962 r. Było mi dane brać w nim udział od początku. Pierwsza sesja została otwarta w październiku, a zakończyła się 8 grudnia. Uczestniczyłem w posiedzeniach wraz z Ojcami soborowymi jako wikariusz kapitulny archidiecezji krakowskiej.

Po śmierci Jana XXIII konklawe w dniu 21 czerwca 1963 r. wybrało papieżem arcybiskupa Mediolanu, kardynała Giovan-niego Battistę Montiniego, który przybrał imię Pawła VI. W jesieni tegoż roku Sobór podjął swe obrady na drugiej sesji, podczas której również byłem obecny w takim samym charakterze. 30 grudnia 1963 r. zostałem mianowany arcybiskupem metropolitą krakowskim. Ogłoszenie tej nominacji nastąpiło w styczniu 1964 r., a 8 marca, w niedzielę Laetare, odbył się mój uroczysty ingres do katedry na Wawelu.

Pamiętam, że na progu katedry witał mnie prof. Franciszek Bielak i wspomniany już ks. infułat Bohdan Niemczewski, pre-pozyt kapituły. Wprowadzili mnie do katedry, gdzie miałem zająć tron biskupi osierocony po śmierci kardynała Sapięhy i arcybiskupa Baziaka. Nie pamiętam szczegółów przemówienia, które wtedy wygłosiłem, ale pamiętam, że były to myśli pełne wzruszeń związanych z Katedrą Wawelską, jej dziedzictwem kulturowym, do którego „od zawsze” byłem przywiązany, jak to już wcześniej podkreśliłem.

Paliusz

Myślę też o głębokim i poruszającym znaku paliusza, który otrzymałem w tym samym roku 1964. Na całym świecie metropolici, na znak jedności z Chrystusem Dobrym Pasterzem i z Jego Wikariuszem, sprawującym urząd Piotrowy, noszą na ramionach ten znak wykonany z wełny jagniąt poświęconych w dniu świętej Agnieszki. Tylekroć jako papież mogłem go przekazywać w dniu świętych Apostołów Piotra i Pawła nowym metropolitom. Jakże piękna symbolika! W

kształcie paliusza możemy dostrzec obraz owieczki, którą Dobry Pasterz bierze na swoje ramiona i niesie, by ją ocalić i nakarmić. W tym symbolu uwidacznia się to, co nas wszystkich jako biskupów łączy na pierwszym miejscu: troska i odpowiedzialność za powierzoną nam owczarnię. To w tej trosce i odpowiedzialności mamy tworzyć jedność i jej strzec.

Od 8 marca 1964 roku, dnia mojego ingresu, uczestniczyłem dalej w Soborze już jako arcybiskup metropolita i tak było aż do jego zakończenia w dniu 8 grudnia 1965 roku. Doświadczenie Soboru, spotkania w wierze z biskupami Kościoła powszechnego, i zarazem nowa odpowiedzialność za powierzony mi Kościół w Krakowie, pozwoliły mi głębiej zrozumieć miejsce biskupa w Kościele.

Biskup w swoim Kościele lokalnym

Jakie jest miejsce, które dobroć Boża wyznacza w Kościele biskupowi? Od samego początku, na mocy włączenia w sukcesję apostolską, biskup staje wobec Kościoła powszechnego. Jest posłany na cały świat i właśnie dlatego staje się znakiem powszechności Kościoła. Odczuwam ten powszechny wymiar Kościoła od dziecka, to jest od kiedy nauczyłem się recytować słowa wyznania wiary: pierzę w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół". Ta właśnie powszechna wspólnota jednoczy w sobie świadectwa tylu różnych miejsc, czasów i ludzi wybranych przez Boga i zgromadzonych w Kościele „od Adama, «od sprawiedliwego Abla, aż po ostatniego wybranego»" (Lumen gentium, 2). Te znaki i te związki tak wymownie dochodzą do głosu w liturgii święceń biskupich, że przywołują na myśl całą historię zbawienia wraz z jej celem, którym jest jedność wszystkich ludzi w Bogu. Ponosząc odpowiedzialność za Kościół powszechny, każdy biskup stoi równocześnie pośrodku swojego Kościoła partykularnego, to znaczy pośrodku tego zgromadzenia, które Chrystus powierzył właśnie jemu, żeby za sprawą jego posługi biskupiej coraz pełniej realizowała się tajemnica Kościoła Chrystusa, znaku zbawienia dla wszystkich. W Konstytucji dogmatycznej o Kościele Lumen gentium czytamy: „Kościół Chrystusa jest prawdziwie obecny we wszystkich prawowitych miejscowych zgromadzeniach wiernych, które o ile trwają przy swoich pasterzach nazywane są w Nowym Testamencie Kościołami. (...) W każdej wspólnocie ołtarza, przy świętej posłudze biskupa, pokazuje się symbol owej miłości i «jedności Ciała Mistycznego, bez której nie może być zbawienia». W tych wspólnotach, choć nieraz są one szczupłe i ubogie albo żyją w rozproszeniu, obecny jest Chrystus, którego mocą jednoczy się jeden, święty, katolicki i apostolski Kościół" (n. 26).

Tajemnica biskupiego powołania w Kościele polega właśnie na tym, że odnajduje się on zarazem w tej jednej widzialnej wspólnocie, dla której jest ustanowiony, i w Kościele powszechnym. Byłoby niewątpliwie uproszczeniem i ostatecznie niezrozumieniem tajemnicy myśleć, że biskup tylko reprezentuje Kościół

powszechny w swojej wspólnocie diecezjalnej - jaką dla mnie był Kraków - i zarazem reprezentuje ją wobec Kościoła powszechnego, w taki sposób jak na przykład ambasadorzy reprezentują własne państwa albo organizacje międzynarodowe. Biskup jest znakiem obecności Chrystusa w świecie. A jest to obecność, która wychodzi naprzeciw ludziom tam, gdzie są; wzywa ich po imieniu, podnosi, umacnia przesłaniem Dobrej Nowiny i gromadzi przy jednym Stole. Dlatego biskup, który należy do całego świata i do Kościoła powszechnego, przeżywa swoje powołanie w oddaleniu od innych członków episkopatu, aby pozostawać w ścisłym związku z ludźmi, których w imię Chrystusa gromadzi w swoim lokalnym Kościele. Zarazem staje się dla tych właśnie ludzi, których gromadzi, znakiem pokonywania ich samotności, gdyż prowadzi ich ku więzi z Chrystusem, a w Nim ku tym wszystkim, których Bóg wybrał przed nimi od początku świata i tym, których gromadzi dzisiaj na całym świecie, jak również ku tym, których zgromadzi jeszcze w swoim Kościele po nich, aż po wezwanych w ostatniej godzinie. Wszyscy przez posługę i znak biskupa są obecni w lokalnym Kościele.

Biskup sprawuje swoją posługę w Kościele w sposób prawdziwie odpowiedzialny, gdy potrafi wzbudzić w wiernych żywe poczucie jedności z nim, a poprzez jego osobę z wszystkimi wiernymi Kościoła na świecie. Osobiście doświadczyłem tej serdecznej jedności w moim Krakowie ze strony księży, zakonów i świeckich. Niech Bóg im to wynagrodzi! Święty Augustyn, prosząc o pomoc i zrozumienie, mawiał do wiernych: „Być może wielu zwykłych chrześcijan zdąży do Boga drogą łatwiejszą od naszej, idąc tym szybciej, im mniejszy ciężar odpowiedzialności spoczywa na ich barkach. My natomiast będziemy musieli zdać sprawę Bogu przede wszystkim z naszego życia jako chrześcijanie, a następnie w sposób szczególny z wypełnienia naszej posługi jako pasterze” (Serm. 46, 1-2).

Taka jest tajemnica mistycznego spotkania ludzi „z każdego narodu i wszystkich pokoleń, ludów i języków” (Ap 7, 9) z Chrystusem obecnym w biskupie diecezji, wokół którego w określonym momencie historycznym gromadzi się lokalny Kościół. Jakże mocna jest ta więź! Jakimi wspaniałymi więzami łączy nas i spaja! Tego doświadczyłem podczas Soboru. Doświadczyłem zwłaszcza kolegalności: cały episkopat z Piotrem! Ponownie to przeżycie powróciło do mnie w sposób szczególny podczas rekolekcji dla Kurii Rzymskiej zgromadzonej wokół papieża Pawła VI, które prowadziłem w roku 1976. Do tego jeszcze powrócę.

Kolegalność

Warto powrócić myślą do początków. Z woli naszego Pana i Mistrza powołany zosta! apostolski urząd. Rosła wokół Niego wspólnota tych, których sam chciał

(por. Mk 3, 13). W niej kształtowały się i pogłębiały osobowości poszczególnych jej członków, począwszy od Szymona Piotra. Do tego Kolegium uczniów i przyjaciół Chrystusa każdy nowy biskup zostaje wprowadzony przez powołanie i konsekrację. Kolegium! Udział we wspólnocie wiary, świadectwa, miłości i odpowiedzialności jest darem, który otrzymujemy wraz z tym powołaniem i konsekracją. Jak wielki to dar!

Dla każdego z nas obecność innych stanowi wsparcie, które wyraża się przez więź modlitwy i służby, przez świadectwo i dzielenie się owocami pasterskiej pracy. Z tego punktu widzenia, dziś takim szczególnym umocnieniem są dla mnie spotkania i relacje składane przez biskupów podczas wizyt ad limina apostolorum. Bardzo pragnę, by to, co łaska Boża sprawia przez serce, umysł i ręce każdego z nich, było znane i drogie wszystkim. Dzisiejsza łatwość komunikacji umożliwia nam częste i owocne spotkania. Daje to nam wszystkim, biskupom Kościoła katolickiego, możliwość szukania dróg umocnienia biskupiej kolegialności, także przez chętną współpracę w Konferencjach episkopatów i wymianę doświadczeń w wielkiej rodzinie Kościoła na całym świecie. Jeśli biskupi odwiedzają się wzajemnie i przekazują sobie ich radości i troski, z pewnością pomaga im to zachować „duchowość komunii”, o której pisałem w Liście apostolskim *Novo millennio ineunte* (por. 43-45).

Już przed wyborem na Stolicę Piotrową spotykałem się z wieloma biskupami z całego świata, chociaż częściej oczywiście z biskupami z najbliższych krajów europejskich. Były to spotkania wzajemnego umocnienia. Niektóre z nich, zwłaszcza z biskupami z krajów pozostających pod dyktandą komunistyczną, były czasami dramatyczne. Myślę tu na przykład o pogrzebie kardynała Stefana Trochty w ówczesnej Czechosłowacji, kiedy to kontakty z miejscowym Kościołem były utrudniane czy wręcz uniemożliwiane przez władze komunistyczne.

Ostatnie duszpasterskie spotkanie z biskupami sąsiedniego kraju, zanim kardynałowie zdecydowali, abym objął tron św. Piotra, było w Niemczech, gdzie wraz z Prymasem Wyszyńskim udaliśmy się z wizytą duszpasterską we wrześniu 1978 roku. Był to zarazem ważny znak pojednania pomiędzy naszymi narodami. Wszystkie te spotkania znalazły niezwykle, intensywną kontynuację w codziennych spotkaniach z biskupami z różnych stron świata, jakie było mi dane odbyć po wyborze na stolicę świętego Piotra.

Szczególnym wyrazem kolegialności są wizyty ad limina apostolorum. Zasadniczo co 5 lat (czasem są jednak pewne opóźnienia) przybywają do Watykanu biskupi z całego świata. Jest ponad dwa tysiące diecezji. Teraz ja jestem tym, który ich przyjmuje. Za czasów papieża Pawła VI, byłem tym, którego papież gościł. Bardzo sobie ceniłem te spotkania z Pawłem VI. Wiele się od niego nauczyłem, również tego, jak powinny przebiegać te spotkania, jednak potem wypracowałem sobie własny schemat: najpierw spotykam się z każdym biskupem osobiście, potem zapraszam całą grupę na obiad, a w końcu wspólnie odprawiamy poranną Mszę św. i mamy wspólne spotkanie.

Korzystam bardzo wiele z tych spotkań z biskupami. Mógłbym rzec po prostu, że od nich „uczę się Kościoła”. Nieustannie muszę to robić, bo od biskupów uczę się rzeczy wciąż nowych. Z rozmów z nimi dowiaduję się o sytuacji Kościoła w różnych częściach świata: w Europie, w Azji, Ameryce, Afryce czy w Oceanii.

Pan Bóg dał mi siły, abym mógł wiele tych krajów odwiedzić, powiedziałbym większość z nich. To ma bardzo wielkie znaczenie, bo osobisty pobyt w jakimś kraju, nawet krótki, pozwala zobaczyć wiele. Poza tym te spotkania dają możliwość bezpośredniego zetknięcia się z ludem, co jest bardzo ważne zarówno na poziomie relacji międzyludzkich, jak i kościelnych. Tak było również w przypadku św. Pawła, który nieustannie był w drodze. Toteż, gdy się czyta to, co pisał do różnych wspólnot, czuje się, że on był u nich, że znał ludzi w tych miejscach i znał ich problemy. Tak samo jest to ważne w każdym czasie, również dzisiaj.

Zawsze lubiłem podróżować. Jest dla mnie jasne, że papież ma to niejako zadane przez samego Chrystusa. Już jako biskup diecezjalny bardzo lubiłem wizytacje i uważałem, że jest bardzo ważne wiedzieć, co się dzieje w parafiach, znać ludzi i spotykać się z nimi bezpośrednio. To, co stanowi kanoniczne wskazanie, właśnie wizytacja duszpasterska, było w rzeczywistości podyktowane doświadczeniem życia. Wzorem jest tu św. Paweł. Piotr też, ale Paweł przede wszystkim.

Ojcowie soborowi

W czasie pierwszej sesji soborowej, jeszcze jako biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, miałem okazję dziękować kardynałowi Giovanni Montiniemu za wielkoduszny i cenny dar archidiecezji mediolańskiej dla kolegiaty św. Floriana w Krakowie, jakim były trzy nowe dzwony (symboliczny, ale jakże wymowny dar, także z racji imion, jakie zostały nadane dzwonom: „Panna Maryja”, „Ambroży-Karol Boromeusz” i „Florian”). Z prośbą o taki dar zwrócił się ks. Tadeusz Kurowski, prepozyt kolegiaty św. Floriana. Arcybiskup Montini, który zawsze miał wiele życzliwości dla Polaków, okazał wielkie serce dla tego projektu i wiele życzliwości dla mnie, wówczas bardzo młodego biskupa.

Włoscy koledzy, którzy - żeby tak powiedzieć - pełnili obowiązki gospodarzy Soboru i w ogóle Watykanu, zawsze zdumiewali życzliwością i uniwersalizmem. W czasie pierwszej sesji Soboru zaskakującym doświadczeniem powszechności Kościoła była dla mnie liczna obecność biskupów z Afryki. Siedzieli w różnych punktach Bazyliki św. Piotra, w której, jak wiadomo, odbywały się prace Soboru. Wśród nich byli wybitni teologowie i gorliwi pasterze. Mieli wiele do powiedzenia. Spośród innych najbardziej zachował się w mojej pamięci arcybiskup Raymond-Marie Tchidimbo z Conakry, który dużo się nacierpiał od komunistycznego prezydenta swego kraju i w końcu musiał udać się na

wygnanie. Miałem serdeczny i częsty kontakt z kardynałem Hyacinthe Thiandoun, człowiekiem o wyjątkowej osobowości. Inną wybitną postacią był kardynał Paul Zoungrana. Obaj kultury francuskiej, mówili doskonale w tym języku, jakby był ich własnym. Zaprzyjaźniłem się z tymi dostojnikami, gdy mieszkałem w Kolegium Polskim.

Bardzo czułem się bliski kardynałowi Gabrielowi Marii Gar-rone. Francuz, starszy ode mnie o dwadzieścia lat. Odnosił się do mnie bardzo serdecznie, powiedziałbym po przyjacielsku. Razem ze mną został kardynałem i po Soborze był prefektem Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego. Chyba brał jeszcze udział w konklawe. Drugim Francuzem, z którym się zaprzyjaźniłem, był teolog Henri de Lubac SJ, którego ja sam kreowałem wiele lat później kardynałem. Sobór to był nadzwyczajny okres poznawania biskupów i teologów, zwłaszcza w poszczególnych Komisjach. Kiedy był komentowany Schemat 13 (który potem stał się Konstytucją duszpasterską o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*) i mówiłem o personalizmie, przyszedł do mnie ojciec de Lubac i powiedział: „Tak, tak, tak, w tym kierunku”. W ten sposób dodał mi ducha, co miało szczególne znaczenie dla mnie; byłem przecież stosunkowo młodym człowiekiem.

Z Niemcami też byłem zaprzyjaźniony. Z kardynałem Alfredem Bengschem, o rok ode mnie młodszym. Z Josephem Höffnerem z Kolonii, Josephem Ratzingerem - to byli duchowni wyjątkowo przygotowani teologicznie. Pamiętam szczególnie wówczas młodziutkiego profesora Ratzingera. Towarzyszył podczas Soboru kardynałowi Josephowi Fringsowi, arcybiskupowi Kolonii, jako ekspert teologii. Potem Paweł VI mianował go arcybiskupem Monachium i kreował go kardynałem. Był na konklawe, które powierzyło mi posługę św. Piotra. Gdy umarł kardynał Franjo Seper, poprosiłem go, aby objął po nim funkcję prefekta Kongregacji Doktryny Wiary. Bogu dziękuję za obecność i pomoc kardynała Ratzingera - to wypróbowany przyjaciel. Niestety, żyje już bardzo niewielu biskupów i kardynałów, którzy brali udział w Soborze (11 X 1962 - 8 XI 1965). To było wielkie wydarzenie kościelne i dziękuję Panu Bogu za to, że mogłem uczestniczyć w nim od pierwszego do ostatniego dnia.

Kolegium kardynalskie

W pewnym sensie sercem kolegium biskupiego jest kolegium kardynałów, którzy otaczają Następcę Piotra i wspomagają go w jego świadectwie wiary dla całego Kościoła. Zostałem włączony do tego Kolegium w czerwcu 1967 roku.

Zgromadzenie kardynałów szczególnie dobrze uwidacznia zasadę współpracy i wzajemnego umacniania się w wierze, na której zbudowane jest całe misyjne dzieło Kościoła. Zadanie Piotra jest takie, jakie wyznaczył mu Jezus: Ty zaś, nawróciwszy się, utwierdzaj braci (por. Łk 22, 32). Od pierwszych wieków

Następcy Piotra korzystali ze współdziałania z kolegium biskupów, prezbiterów i diakonów odpowiedzialnych wraz z nimi za miasto Rzym i najbliższe mu diecezje („suburbicariae”). Zaczęto ich określać „viri cardinales”. Oczywiście, przez stulecia zmieniły się formy tej współpracy. Jednak jej zasadnicza wymowa, że jest ona znakiem dla Kościoła i świata, pozostaje niezmienną.

Ponieważ odpowiedzialność pasterska Następcy Piotra obejmuje cały świat, stopniowo okazało się pożyteczne, aby w całym chrześcijańskim świecie byli obecni „viri cardinales”, którzy są mu szczególnie bliscy w poczuciu odpowiedzialności i w bezwzględnej gotowości do składania świadectwa wiary, jeśli to konieczne, aż do przelania krwi (stąd kolor ich szat jest purpurowy, jak krew męczenników). Jestem wdzięczny Bogu za to oparcie i za odpowiedzialność, jaką kardynałowie Kurii Rzymskiej i całego świata niosą wraz ze mną. Im bardziej gotowi są być dla innych oparciem, im bardziej utwierdzają ich w wierze, tym bardziej w konsekwencji są też zdolni unieść ogromną odpowiedzialność za dokonywany pod tchnieniem Ducha Świętego wybór tego, który przyjmie Urząd Piotrowy.

Synody

Moje życie biskupie zaczęło się praktycznie wraz z zapowiedzią Soboru. Jak wiadomo, jednym z owoców Soboru było ustanowienie Synodu Biskupów, który papież Paweł VI utworzył 15 września 1965 roku. W tych latach odbyło się wiele synodów. Podczas każdego z nich dużą rolę spełnia sekretarz generalny. Najpierw był nim kardynał Władysław Rubin, którego wojenne losy przyprowadziły przez Liban do Rzymu. Paweł VI powierzył mu tworzenie Sekretariatu Synodu. To nie było łatwe zadanie. Starłem się go w tym wspomagać, jak potrafiłem, szczególnie dobrą radą. Potem jego zadania przejął Josef Tomko, po którym nastąpił Jan Schotte.

Tych synodów, jak powiedziałem, odbyło się wiele. Oprócz tych, które miały miejsce jeszcze za Pawła VI, były synody o rodzinie, o sakramencie pokuty i pojednania, o roli świeckich w życiu Kościoła, o formacji kapłańskiej, o życiu konsekrowanym, o biskupach. Były też celebrowane synody o szczególnym charakterze: synod poświęcony Holandii, synod z okazji dwudziestej rocznicy zakończenia Soboru Watykańskiego II, specjalne zgromadzenie poświęcone Libanowi. Potem odbywały się synody o charakterze kontynentalnym: dla Afryki, dla Ameryki, Azji, Oceanii i dwa synody dla Europy. Myśl była taka, żeby przejść przez wszystkie kontynenty przed Milenium, poznać je i dostrzec ich problemy, w przygotowaniu do Wielkiego Jubileuszu. Ten program został wykonany. Teraz trzeba się zastanowić nad nowym synodem, który będzie miał za temat sakrament Eucharystii.

W moim życiu biskupim miałem już możliwość zetknąć się z doświadczeniem synodalnym: był bowiem bardzo ważny Synod Archidiecezji Krakowskiej, organizowany z okazji 900-lecia św. Stanisława. Chodzi oczywiście jedynie o synod diecezjalny. Nie odbywał się on na forum Kościoła powszechnego, ale bardziej skromnie we wspólnocie Kościoła lokalnego. Niemniej również synod diecezjalny ma niemałe znaczenie dla wspólnoty wiernych, którzy na co dzień przeżywają te same problemy związane z praktykowaniem wiary w określonych okolicznościach społecznych i politycznych. Zadaniem synodu krakowskiego było głębsze wprowadzenie w życie tej lokalnej wspólnoty tego, co przyniósł Sobór. Synod ten zaplanowałem na lata 1972-1979, bo św. Stanisław - jak już powiedziałem - był biskupem od 1072 do 1079 roku. Chciałem, żeby po 900 latach te daty odżyły. Najważniejszym doświadczeniem była praca bardzo licznych i zaangażowanych grup synodalnych. Synod prawdziwie pastoralny - pracowali razem biskupi, księża i świeccy, wszyscy. Zakończyłem ten synod już jako papież, podczas mojej pierwszej podróży do Polski.

Rekolekcje dla Kurii za pontyfikatu Pawła VI

Nigdy nie zapomnę tych szczególnych rekolekcji. Rekolekcje, to praktyka, która jest wielkim dobrodziejstwem Bożym dla każdego, kto je odprawia. Są czasem odejścia od wszystkich innych spraw, aby spotkać się z Bogiem, zasłuchać się jedynie w Jego głos. Niewątpliwie stanowi to niezwykle cenną okoliczność dla tego, kto podejmuje te ćwiczenia. Dlatego właśnie nie można tu stosować przymusu, ale raczej trzeba rozbudzić w nim wewnętrzną potrzebę takiego doświadczenia. Owszem, czasem można komuś powiedzieć: „Idź do kamedułów czy do Tyńca, żeby się odnaleźć”; ale zasadniczo to musi być wewnętrzna potrzeba. Kościół jako instytucja poleca odbywanie rekolekcji, zwłaszcza księżom (por. KPK kan. 276, § 2, 4), ale przepis kanoniczny jest tylko czynnikiem dodatkowym do potrzeby wypływającej z serca.

Wspomniałem już, że sam najczęściej odprawiałem rekolekcje w opactwie benedyktynów w Tyńcu. Bywałem też u kamedułów na Bielanach, w seminarium krakowskim i w Zakopanem. Od kiedy przybyłem do Rzymu, odbywam rekolekcje razem z Kurią w pierwszym tygodniu Wielkiego Postu. Prowadzili je w tych latach coraz to inni rekolekcjoniści. Niektórzy byli znakomici z punktu widzenia umiejętności mówienia, treści, czasem nawet dowcipu. Tak było na przykład w przypadku jezuity, ojca Tomáša Spidlika, z pochodzenia Czecha. Uśmialiśmy się podczas jego konferencji, co też jest potrzebne. Umiał bowiem głębokie prawdy podać w sposób dowcipny i wykazał się w tym wielką umiejętnością. Te rekolekcje odżyły w mojej pamięci, kiedy wręczałem mu biret kardynalski podczas ostatniego kon-systorza. Różni byli ci kaznodzieje, na ogół

byli znakomici. Ja sam zaprosiłem biskupa Ablewicza i to był jedyny poza mną Polak, który prowadził rekolekcje w Watykanie.

Prowadziłem w Watykanie rekolekcje dla Pawła VI i jego współpracowników. Był pewien problem z przygotowaniem tych rekolekcji. Na początku lutego 1976 r. zadzwonił do mnie biskup Władysław Rubin z wiadomością, że papież Paweł VI prosi mnie o wygłoszenie nauk rekolekcyjnych w marcu. Miałem do dyspozycji zaledwie dwadzieścia dni, żeby przygotować teksty i je przetłumaczyć. Tytuł, jaki dałem tym rozważaniom brzmiał: „Znak, któremu sprzeciwiać się będą”. Nie był zaproponowanym tematem, ale pojawił się na końcu jako podsumowanie tego, co miałem zamiar powiedzieć.

Właściwie to nie był temat, ale poniekąd słowo kluczowe, w którym znajdowało się wszystko, co mówiłem w kolejnych konferencjach. Pamiętam dni poświęcone przygotowaniu. Było dwadzieścia tematów do przygotowania; sam je musiałem wymyślić i opracować. Aby znaleźć niezbędny spokój, pojechałem do Zakopanego, do szarych urszulanek na Jaszczurówce. Do południa pisałem rozważania, po południu chodziłem na narty, a później wieczorem jeszcze pisałem. To spotkanie z Pawłem VI w kontekście rekolekcji było dla mnie szczególnie ważne, ponieważ uświadomiło mi, jak bardzo potrzebna jest gotowość biskupa do mówienia o swojej wierze, gdziekolwiek Pan Bóg każe to czynić. Ona jest potrzebna każdemu biskupowi, włącznie z następcą Piotra - tak jak moja gotowość była wtedy potrzebna Pawłowi VI.

Realizacja Soboru

Sobór był wielkim wydarzeniem, a dla mnie niezapomnianym przeżyciem. Wracalem z niego bardzo wzbogacony. Po powrocie do Polski napisałem książkę, w której starałem się przyswoić idee, jakie rozwinęły się w trakcie soborowych posiedzeń. W tej książce usiłowałem zawrzeć, żeby tak powiedzieć, esencję nauczania soborowego. Nadałem jej tytuł: U podstaw odnowy. Studium o realizacji Vaticanum 11. Została wydana w Krakowie w 1972 roku przez Polskie Towarzystwo Teologiczne. Ta książka miała być zarazem swego rodzaju wotum wdzięczności za to, co łaska Boża sprawiła przez soborowe zgromadzenie we mnie samym jako biskupie. Sobór Watykański II poświęcił szczególną uwagę biskupom. O ile Sobór Watykański I mówił o prymacie papieża, o tyle drugi zatrzymał się szczególnie na biskupach. Żeby się o tym przekonać, wystarczy wziąć do ręki dokumenty soborowe, a zwłaszcza Konstytucję dogmatyczną *Lumen gentium*.

Gruntowna nauka Soboru o episkopacie opiera się na odniesieniu do troistej misji (munus) Chrystusa: prorockiej, kapłańskiej i królewskiej. Konstytucja *Lumen gentium* mówi o tym w numerach 24-27. Również inne teksty soborowe nawiązywały do tych trzech zadań (tria munera). Pośród nich szczególnie trzeba

zwrócić uwagę na Dekret Christus Dominus, który dotyczy właśnie pasterskiej misji biskupów.

Kiedy z Rzymu wróciłem do kraju, wybuchła sprawa znanego orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich. W swoim liście biskupi polscy oświadczyli, że w imieniu rodaków wybaczą krzywdy, których doznali w czasie drugiej wojny światowej. Zarazem prosili o wybaczenie krzywd, za które Polacy mogli czuć się odpowiedzialni wobec Niemców. Niestety to orędzie wywołało wiele polemik, pomówień i oszczerstw. Ten akt pojednania, który w rzeczywistości - jak się potem okazało - był decydujący dla unormowania stosunków polsko-niemieckich, bardzo nie podobał się władzom komunistycznym. Konsekwencją było przyjęcie twardego stanowiska wobec Kościoła. Wszystko to nie stanowiło oczywiście najlepszego tła dla obchodów Milenium chrztu Polski, które miały się rozpocząć od Gniezna w kwietniu 1966 roku. W Krakowie uroczystości miały miejsce w dniu święta św. Stanisława, 8 maja. Do dziś mam żywo w pamięci obraz tej olbrzymiej rzeszy ludzi, która postępową w procesji z Wawelu na Skałkę. Władze nie czuły się na siłach, aby przeszkodzić temu masowemu napływowi ludzi. W uroczystościach milenijnych osłabły i prawie zanikły napięcia wywołane orędziem biskupów i można było kontynuować właściwą katechezę na temat znaczenia Milenium dla życia narodu.

Zazwyczaj dobrą okazją do nauczania była także doroczna procesja Bożego Ciała. Przed wojną ta wielka procesja ku czci Ciała i Krwi Chrystusa szła z Katedry Wawelskiej na Rynek Główny, przemierzając ulice i place miasta. Podczas okupacji niemiecki gubernator Hans Frank zakazał odprawiania procesji. Potem, w czasach komunizmu, władze zezwalały na skróconą procesję z katedry na Wawelu wokół dziedzińca zamku królewskiego. Dopiero w roku 1971 procesja po raz pierwszy mogła wyjść poza wawelskie wzgórze. Wówczas starałem się tak układać tematy kazań przy kolejnych ołtarzach, aby w kontekście katechezy o Eucharystii pozwoliły mi ująć również wielki temat wolności religijnej, jak nigdy aktualny w tamtym momencie.

Myślę, że w tych wielorakich formach pobożności ludowej kryje się odpowiedź na stawiane czasem pytanie o znaczenie tradycji w jej wyrazach, także tych lokalnych. W gruncie rzeczy odpowiedź jest prosta: jedność serc to jest wielka siła. Zakorzenie w tym, co dawne, mocne, głębokie, a zarazem bliskie i miłe sercu, daje nadzwyczajną siłę wewnętrzną. Jeśli takie zakorzenie połączy się potem z odważną siłą myśli, nie ma już powodu, by obawiać się o przyszłość wiary i ludzkich więzi w narodzie. Z bogatego humus tradycji wyrasta bowiem kultura, która cementuje współistnienie obywateli i daje im poczucie, że są jedną wielką rodziną, dodając wsparcia i siły ich przekonaniom. Naszym wielkim zadaniem, zwłaszcza dzisiaj, w czasach tzw. globalizacji, jest dbać o tę zdrową tradycję, sprzyjając odważnej wyobraźni i myśli, otwartej wizji przyszłości i równocześnie szacunkowi dla przeszłości. Jest to przeszłość, która utrwała się w sercach ludzkich w postaci dawnych słów, znaków, wspomnień i zwyczajów przejętych od poprzednich pokoleń.

Polscy biskupi

W czasach mojego posługiwania w Krakowie, szczególne więzy przyjaźni łączyły mnie z biskupami z Gorzowa. A było ich tam trzech: Wilhelm Pluta, dziś już sługa Boży, Jerzy Stroba i Ignacy Jeż. Z nimi się naprawdę przyjaźniłem. Dlatego jeździłem do nich z wizytą, także nie z urzędu. Ze Strobą znaliśmy się z Krakowa, gdzie był rektorem Seminarium Śląskiego. Byłem w tym seminarium profesorem: wykładałem etykę, fundamentalną teologię moralną i etykę społeczną. Ze wspomnianej trójki żyje jeszcze biskup Ignacy Jeż. Jest obdarzony darem poczucia humoru, o czym między innymi świadczy umiejętność bawienia się swoim nazwiskiem.

Jako ordynariusz miałem w mojej archidiecezji biskupów pomocniczych: Juliana Groblickiego, Jana Pietraszkę, Stanisława Smoleńskiego i Albina Małysiaka - tych dwu ostatnich ja święciłem. Ceniłem biskupa Albina za jego dynamizm. Pamiętam go jeszcze jako proboszcza w Nowej Wsi, jednej z dzielnic Krakowa. Czasami nazywałem go „Albin gorliwy”. Biskup Jan Pie-traszko był świetnym kaznodzieją, człowiekiem, który zdumiewał słuchaczy. Mój następca w Krakowie kardynał Franciszek Macharski w 1994 roku mógł rozpocząć jego proces beatyfikacyjny. Dziś ten proces jest już na etapie rzymskim. Również pozostałych dwóch biskupów pomocniczych dobrze wspominam: na przestrzeni lat staraliśmy się razem służyć umiłowanemu Kościołowi w Krakowie w duchu braterskiej jedności.

W sąsiednim Tarnowie był biskup Jerzy Ablewicz, o którym już wspominałem. Dość często do niego jeździłem; byliśmy zresztą prawie rówieśnikami - był o rok ode mnie starszy.

Bardzo się do mnie serdecznie odnosił biskup częstochowski Stefan Bareła. Podczas jubileuszu 25-lecia jego święceń kapłańskich powiedziałem w homilii: „Biskupstwo, to jest jak gdyby jeszcze dalsze i jeszcze inne odkrycie kapłaństwa. A dokonuje się ono na tej samej zasadzie: dokonuje się przede wszystkim poprzez ten zwrot do Jezusa Chrystusa, jedyne Pasterza i Biskupa dusz naszych. Ten zwrot jest głębszy, jeszcze gorętszy i jeszcze bardziej wymagający. Dokonuje się ono równocześnie przez zwrot do dusz, do dusz nieśmiertelnych, które zostały Krwią Chrystusa odkupione. Ten zwrot do dusz może nie jest tak bezpośredni, jak w pracy i działalności kapłana parafialnego, proboszcza czy wikarego, ale za to jest on jeszcze rozleglejszy, bo przed biskupem niejako szerzej otwiera się wspólnota Kościoła. Kościół w świadomości nas, biskupów Yaticanum II, to miejsce spotkania całej rodziny człowieczej, miejsce pojednania, zbliżenia - pomimo wszystko - zbliżenia, za cenę dialogu, zbliżenia za cenę cierpienia. Może dla nas, biskupów polskich epoki Soboru

Watykańskiego II, bardziej za cenę cierpienia niż dialogu" {Kalendarium życia Karola Wojtyły, Kraków 1983, ss. 335-336).

Na Śląsku pełnił swoją posługę duszpasterską biskup Herbert Bednorz, a przed nim jeszcze biskup Stanisław Adamski. Bednorz był mianowany jego koadiutorem. Kiedy zostałem metropolitą, pojechałem do wszystkich biskupów metropolii, a więc i do Katowic, gdzie przedstawiłem się biskupowi Adamskiemu. Byli z nim również biskup Julian Bieniek i biskup Józef Kurpas. Dobrze się rozumieliśmy z biskupami ze Śląska. Spotykałem ich regularnie w ostatnią niedzielę maja w sanktuarium Matki Bożej w Piekarach, gdzie w tym właśnie dniu odbywała się wielka pielgrzymka mężczyzn. Biskup Bednorz stale mnie zapraszał z kazaniem. Ostatnia niedziela maja to było wydarzenie - ta pielgrzymka górników była szczególnym świadectwem w Polsce Ludowej. Biorący w niej udział czekali na kazanie i podkreślali brawami wszystkie wypowiedzi, które były wbrew dyskusyjnej linii polityki rządu w kwestiach religijnych czy moralnych, np. w sprawie świętowania niedzieli. W tej kwestii utrzymało się na Śląsku popularne powiedzenie biskupa Bednorza: „Niedziela Boża i nasza”. Biskup Bednorz, po zakończonych uroczystościach, zawsze mi mówił: „Na drugi rok przyjechać i powiedzieć takie kazanie”. Pielgrzymka pozostaną dla mnie przedziwnym świadectwem, mającym w sobie coś niezwykłego.

Szczególne miejsce w moim sercu zajmuje Andrzej Maria Deskur, dziś emerytowany prezydent Papieskiej Rady ds. Środków Masowego Przekazu. Włączyłem go do kolegium kardynalskiego w dniu 25 maja 1985 r. Od początku mojego pontyfikatu, zwłaszcza przez swoje cierpienie, ale też przez mądrą radę, wielokrotnie był mi oparciem.

Gdy wspominam biskupów, nie mogę nie odwołać się do mojego patrona św. Karola Boromeusza. Kiedy myślę o tej postaci, uderza mnie zbieżność faktów i zadań. On był biskupem Mediolanu w okresie Soboru Trydenckiego w XVI wieku. Mnie Pan Bóg dał być biskupem w XX w, a dokładnie w czasie Soboru Watykańskiego II, w którego kontekście dał mi takie samo zadanie: jego realizację. Muszę powiedzieć, że w latach pontyfikatu ta realizacja Soboru była nieustannie w centrum moich myśli. Zawsze frapowała mnie ta zbieżność i fascynowało mnie w tym świętym biskupie jego ogromne zaangażowanie duszpasterskie: po Soborze św. Karol oddał się wizytom duszpasterskim w całej diecezji, która liczyła wówczas około osiemset parafii. Krakowska archidiecezja była mniejsza, a jednak nie udało mi się dokończyć rozpoczętych wizytacji. Również diecezja rzymska, która obecnie jest mi powierzona, jest duża: liczy 333 parafie. Dotychczas zwizytowałem 317, więc zostało jeszcze 16.

Część VI

BÓG I ODWAGA

„Oto idę” (Hbr 10, 7)

Mężni w wierze

Pozostają w mej pamięci słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego wypowiedziane w dniu 11 maja 1946 roku, w przededniu jego konsekracji na Jasnej Górze: „Biskupstwo ma w sobie coś z krzyża, dlatego Kościół wiesza biskupowi krzyż na ramionach. Na krzyżu trzeba umrzeć sobie, bez tego nie ma pełni kapłaństwa. Brać krzyż na siebie nie jest łatwo, choćby był złoty i wysadzany kamieniami”. Dziesięć lat później, 16 marca 1956 roku, Kardynał powiedział: „Biskup ma obowiązek działać nie tylko słowem, posługą liturgiczną, ale także i ofiarą cierpienia”. Do tych myśli kardynał Wyszyński powrócił jeszcze przy innej okazji: „Brak męstwa - mówił - jest dla biskupa początkiem klęski. Czy jeszcze może być apostołem? Przecież istotne dla apostoła jest świadectwo Prawdzie! A to zawsze wymaga męstwa” (kard. S. Wyszyński, *Zapiski więzienne*, Paryż 1982, s. 251). I jeszcze te jego słowa: „Największym brakiem apostoła jest lęk. Bo budzi nieufność do potęgi Mistrza, ściska serce i kurczy gardło. Apostoł już nie wyznaje. Czy jest apostołem? Uczniowie, którzy opuścili Mistrza, dodali odwagi oprawcom. Każdy, kto milknie wobec nieprzyjaciół sprawy, rozzuchwala ich. Lęk apostoła jest pierwszym sprzymierzeńcem nieprzyjaciół sprawy. «Zmusić do milczenia przez lęk» - to pierwsze zadanie strategii bezbożniczej. Terror, stosowany przez wszystkie dyktatury, obliczony jest na lękliwość apostołów. Milczenie tylko wtedy ma swoją apostołską wymowę, gdy nie odwraca oblicza swego od bijącego. Tak czynił milczący Chrystus. Ale w tym znaku okazał swoje męstwo. Chrystus nie dał się sterroryzować ludziom. Gdy wyszedł na spotkanie hałustry, odważnie powiedział «Ja jestem»” (tamże, s. 94).

Istotnie nie wolno odwracać się od prawdy, zaprzestać jej głoszenia, ukrywać, nawet jeśli jest to prawda trudna, a jej wyjawienie wiąże się z wielkim bólem. „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 32) — oto jest nasze zadanie i zarazem nasze oparcie! W tej sprawie nie ma kompromisów, ani oportunistycznego uciekania się do ludzkiej dyplomacji. Trzeba dać świadectwo prawdzie, także za cenę prześladowań, nawet krwi, jak to uczynił sam Chrystus i jak kiedyś zrobił to mój święty poprzednik w Krakowie, biskup Stanisław ze Szczepanowa. Próby zapewne nas spotkają. Nie jest to niczym niezwykłym. To należy do życia wiary. Czasem próby są łagodne, czasem bardzo trudne, a nawet dramatyczne. W próbie możemy się czuć osamotnieni, ale łaska Boża, łaska zwycięskiej wiary,

nigdy nas nie opuszcza. Dlatego każdą próbę, choćby najstraszniejszą, możemy przejść zwycięsko.

Kiedy mówiłem o tym do polskiej młodzieży w roku 1987 na gdańskim Westerplatte, odwołałem się do tego miejsca jako symbolu wierności w dramatycznej próbie. Tam w roku 1939 grupa młodych polskich żołnierzy, walcząc z niemieckim najeźdźcą o decydującej przewadze sił i uzbrojenia, złożyła zwycięskie świadectwo męstwa, wytrwania i wierności. Odwołałem się do tego wydarzenia, zapraszając zwłaszcza młodych do refleksji nad odniesieniem pomiędzy więcej być a więcej mieć, i ostrzegałem ich: „Nigdy samo więcej mieć nie może zwyciężyć. Bo wtedy człowiek może przegrać rzecz najcenniejszą: swoje człowieczeństwo, swoje sumienie, swoją godność”. W tej perspektywie zachęcałem ich: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali”. I tłumaczyłem: „Każdy z was znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można zdezerterować. Wreszcie - jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba «utrzymać» i «obronić», tak jak to Westerplatte, w sobie i wokół siebie. Tak, obronić - dla siebie i dla innych” (12 czerwca 1987 r.).

Ludzie zawsze potrzebowali wzorców do naśladowania. Potrzebują ich także teraz, w naszych czasach naznaczonych zmiennymi i przeciwstawnymi ideami.

Święci i krakowscy

Jeżeli mówimy o wzorcach do naśladowania, nie możemy zapomnieć o świętych. Jakże wielkim darem dla każdej diecezji są rodzimi święci i błogosławieni. Myślę, że jest to szczególnym wzruszeniem dla biskupa stawiać jako wzór konkretnych ludzi, którzy odznaczyli się płynącą z wiary heroiczną cnót. Wzruszenie jest tym większe, gdy chodzi o osoby, które żyły w bliskich nam czasach. Dane mi było rozpocząć procesy kanonizacyjne wielkich chrześcijan związanych z krakowską archidiecezją. Później, jako biskup Rzymu, mogłem stwierdzać heroiczną ich cnót, a po zakończeniu procesów, wpisywać ich w poczet błogosławionych i świętych.

Pamiętam, że podczas wojny, gdy byłem robotnikiem w fabryce „Solvay”, miejscu, które łączy się z Łagiewnikami, nieraz chodziłem do grobu siostry Faustyny, gdy jeszcze nie była ogłoszona błogosławioną. To wszystko było przedziwne, nie do przewidzenia, gdy się brało pod uwagę, że to była prosta dziewczyna. Czy mogłem wtedy przypuszczać, że będzie mi dane najpierw ją beatyfikować, a potem kanonizować? Wstąpiła do klasztoru w Warszawie, potem została przeniesiona do Wilna i w końcu do Krakowa. Właśnie ona, parę lat przed wojną, miała to wielkie widzenie Jezusa miłosiernego, który wezwał ją, aby stała

się apostołką czci dla Miłosierdzia Bożego, jaka miała potem tak szeroko się roznieść w Kościele. Siostra Faustyna zmarła w 1938 roku. Stąd, z Krakowa, kult Miłosierdzia Bożego wszedł w wielki ciąg wydarzeń o wymiarach światowych. Gdy zostałem arcybiskupem, zleciłem ks. prof. Ignacemu Różyckiemu, by przestudiował jej pisma. Najpierw nie chciał. Potem studiował dogłębnie dostępne dokumenty. Aż wreszcie powiedział: „To wspaniała mistyczka”.

Szczególne miejsce w mojej pamięci, a nawet więcej, w moim sercu, ma Brat Albert — Adam Chmielowski. Walczył w powstaniu styczniowym i w tym powstaniu pocisk zniszczył mu nogę. Odtąd był kaleką - nosił protezę. Był dla mnie postacią przedziwną. Bardzo byłem z nim duchowo związany. Napisałem o nim dramat, który zatytułowałem Brat naszego Boga. Fascynowała mnie jego osobowość. Widziałem w nim model, który mi odpowiadał: rzucił sztukę, żeby stać się sługą biedaków - „opuchla-ków”, jak ich nazywano. Jego dzieje bardzo mi pomogły zostawić sztukę i teatr, i wstąpić do seminarium duchownego.

Codziennie odmawiam litanie narodu polskiego, w której jest św. Brat Albert. Z krakowskich świętych wspominam także św. Jacka Odrowąża: wielki święty krakowski. Jego relikwie spoczywają w kościele dominikanów. Nieraz tam chodziłem, do tego sanktuarium. Święty Jacek był wielkim misjonarzem: z Gdańska wyruszył na wschód, aż do Kijowa.

Jest jeszcze w kościele franciszkanów grób błogosławionej Anieli Salawy, zwykłej służącej. Beatyfikowałem ją w dniu 13 sierpnia 1991 r. w Krakowie. Swoim życiem udowodniła, że praca gospodyni domowej, wypełniana z wiarą i w duchu ofiarnej

służby, może doprowadzić do świętości. Bywałem często przy jej grobie.

Tych naszych krakowskich świętych uważam za swoich protektorów. Mógłbym ich wyliczać bez końca: święty Stanisław, św. Jadwiga Królowa, św. Jan Kanty, św. Kazimierz królewicz i tylu innych. Rozmyślam o nich i modłę się do nich za mój naród.

Martyres - Męczennicy

Krzyżu Chrystusa, bądźże pochwalony, na wieczne czasy bądźże pozdrowiony: z ciebie moc płynie i męstwo, w tobie jest nasze zwycięstwo”. Nigdy nie nakładam mego krzyża biskupiego obojętnie. Zawsze temu gestowi towarzyszy modlitwa. Przez ponad 45 lat spoczywa na mej piersi, na sercu. Kochać krzyż, to kochać ofiarę. Wzorem takiej miłości są męczennicy, jak na przykład biskup Michał Kozal. Został wyświęcony na biskupa 15 sierpnia 1939 r. na dwa tygodnie przed wybuchem wojny. Nie opuścił swojej owczarni, choć mógł się spodziewać, jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić. Zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie był wzorem i oparciem dla współwięźniów kapłanów.

W 1999 roku było mi dane beatyfikować 108 męczenników, ofiary nazistów, a wśród nich trzech biskupów: arcybiskupa Antoniego Juliana Nowowiejskiego, ordynariusza płockiego, jego biskupa pomocniczego Leona Wetmańskiego i biskupa Władysława Gorąa z Lublina. Wraz z nimi zostali wyniesieni do chwały ołtarzy księży, zakonnicy i zakonnice oraz świeccy. Wymowna jest ta jedność w wierze, w miłości i w męczeństwie pomiędzy pasterzami i owczarnią zgromadzoną wokół krzyża Chrystusa.

Szeroko znanym wzorem męczeńskiej ofiary miłości jest polski franciszkanin św. Maksymilian Kolbe. Oddał życie w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, ofiarując siebie w zamian za nieznanego sobie współwięźnia, ojca rodziny.

Są też inni męczennicy, bardziej współcześni. Ze wzruszeniem wspominam spotkania z kardynałem Francois-Xavier Nguy-en Van Thuan. W pamiętnym Roku Jubileuszowym głosił dla nas w Watykanie rekolekcje. Powiedziałem w podziękowaniu za medytacje, które prowadził: „Osobiście doświadczywszy krzyża podczas długoletniego uwięzienia w Wietnamie, opowiedział nam o rozmaitych faktach i epizodach z okresu cierpień, jakim było to więzienie, umacniając nas, dodając otuchy, pewności, że nawet wtedy, kiedy wszystko wokół nas, a i w nas, wali się w gruzy, Chrystus niezmiennie pozostaje naszym wsparciem i opoką” (11 marca 2000 r.).

Tylu jeszcze mógłbym wspomnieć niezłomnych, mocnych biskupów, którzy swoim przykładem wskazywali drogę innym... Co jest ich wspólną tajemnicą? Myślę, że męstwo w wierze. Pierwszeństwo dawane wierze w całym życiu i działaniu, wierze odważnej i bez lęku, wierze, zahartowanej w próbie, takiej wierze, która ma odwagę pójść za każdym Bożym wezwaniem -fortes in fide...

Św. Stanisław

W tle tylu świetlanych postaci polskich świętych, oczyma serca widzę zarysującą się gigantyczną postać biskupa i męczennika św. Stanisława. Jak już wspomniałem, poświęciłem mu poemat, w którym przywołałem dzieje jego męczeństwa, dostrzegając w nich odzwierciedlenie historii Kościoła w Polsce. Oto niektóre fragmenty tego wiersza:

1.

Pragnę opisać Kościół -

Mój Kościół, który rodzi się wraz ze mną,

lecz ze mną nie umiera - ja też nie umieram z nim,

który mnie stale przerasta -

Kościół: dno bytu mego i szczyt.

Kościół - korzeń, który zapuszczam w przeszłość

i przyszłość zarazem, Sakrament mojego istnienia w Bogu,

który jest Ojcem.

Pragnę opisać Kościół -
mój Kościół, który związał się z moją ziemią
(powiedziano mu „cokolwiek zwiążesz na ziemi,
będzie związane w niebie”) -więc związał się z moją ziemią mój Kościół.
Ziemia leży w dorzeczu Wisły,
dopływy wzbierają wiosną, gdy śniegi topnieją
w Karpatach. Kościół związał się z moją ziemią,
aby wszystko, co na niej zwiąże, było związane w niebie.

2.

Był człowiek, w którym moja ziemia ujrzała,
że jest związana z niebem. Był taki człowiek, byli ludzie... i ciągle tacy są...
Poprzez nich ziemia widzi siebie w sakramencie
nowego istnienia. Jest ojczyzną: bowiem w niej dom Ojca się poczyna,
z niej się rodzi. Pragnę opisać mój Kościół w człowieku,
któremu dano imię Stanisław.

I imię to król Bolesław mieczem wpisał w najstarsze kroniki. Imię to mieczem
wypisał na posadzce katedry,
gdy spłynęły po niej strugi krwi.

3.

Pragnę opisać Kościół w imieniu, którym naród
ponownie został ochrzczony chrztem krwi: aby nieraz potem przechodzić
przez chrzest innej próby -przez chrzest pragnień, w których odsłania się
ukryte tchnienie Ducha -W Imieniu zaszczipionym na glebie ludzkiej wolności
wcześniej niż imię Stanisław.

4.

Na glebie ludzkiej wolności już rodziło się
Ciało i Krew, przecięte mieczem królewskim w samym rdzeniu
kapłańskiego słowa,
przecięte u podstaw czaszki, przecięte w żywym pniu... Ciało i Krew nie zdążyły
jeszcze się narodzić -
miecz ugodził o kielich z metalu i pszenney chleb.

5.

Myślał król może: nie narodzi się z ciebie Kościół jeszcze dziś -
nie narodzi się naród ze słowa, co karci ciało i krew, narodzi się z miecza, z mego
miecza, który przetnie
w połowie Twe słowa,
narodzi się z krwi rozlanej...: myślał może król. Ukryte tchnienie Ducha w jedno
wszelako zespoli słowo przecięte i miecz, złamano stos mózgowy i ręce pełne
krwi...

i mówi: pójdziecie w przyszłości razem, nie rozdzieli was nic! Pragnę opisać mój
Kościół, w którym przez wieki idą ze sobą razem słowo i krew zespolone
ukrytym tchnieniem Ducha.

6.

Myślał może Stanisław: słowo moje zaboli ciebie i nawróci,
przyjdiesz do bram katedry jak pokutnik,
przyjdiesz postem wycieńczony, przeświecony
wewnętrznym głosem... I dołączysz się do Stołu Pańskiego jak marnotrawny syn.
Słowo nie nawróciło, nawróci krew -nie zdążył może pomyśleć biskup: odwróć
ode mnie ten kielich.

7.

Na glebę naszej wolności upada miecz. Na glebę naszej wolności upada krew.
Który ciężar przeważy?

Kończy się pierwszy wiek.

Zaczyna się drugi wiek.

Bierzemy w swoje ręce ZARYS nieuchronnego czasu.

Ziemia Święta

Od dawna żywiłem w sercu myśl, aby udać się w pielgrzymkę śladami Abrahama, skoro tyle już odbyłem różnych pielgrzymek po całym świecie... Paweł VI pojechał do tych świętych miejsc w swojej pierwszej podróży. Ja pragnąłem, żeby ta moja podróż miała miejsce w Roku Jubileuszowym. Miała się zacząć od Ur Chaldejskiego, leżącego na terenie dzisiejszego Iraku, skąd przed wiekami wyszedł Abraham, idąc za Bożym wezwaniem (por. Rdz 12, 1-3). Następnie chciałem kontynuować w kierunku Egiptu, idąc śladami Mojżesza, który wyprowadził stamtąd Izraelitów i otrzymał pod górą Synaj Dziesięć Przykazań jako fundament przymierza z Bogiem. Potem miałem pielgrzymować do Ziemi Świętej, poczynając od miejsca Zwiastowania. Następnie chciałem udać się do Betlejem, gdzie się narodził Jezus i do innych miejsc związanych z Jego życiem i działalnością.

Moja podróż nie była dokładnie taka, jak zaplanowałem. Nie udało się zrealizować pierwszej części, tej śladami Abrahama. Było to jedyne miejsce, do którego nie mogłem dotrzeć, bo nie zgodziły się na to władze Iraku. Przeniosłem się tam duchowo, podczas specjalnej ceremonii zorganizowanej w auli Pawła VI. Mogłem jednak osobiście udać się do Egiptu, do podnóża góry Synaj, gdzie Bóg objawił swoje imię Mojżeszowi. Byłem przyjmowany przez mnichów prawosławnych. Byli bardzo gościnni. Następnie udałem się do Betlejem, do Nazaretu i Jerozolimy. Byłem w Ogrodzie Oliwnym, w Wieczerniku i oczywiście na Kalwarii, na Golgocie. Już po raz drugi nawiedzałem te miejsca święte. Po raz pierwszy byłem tam, jeszcze jako arcybiskup Krakowa, podczas Soboru. Ostatniego dnia jubileuszowej pielgrzymki do Ziemi Świętej odprawiłem wraz z Sekretarzem Stanu kardynałem Angelo Sodano i innymi pracownikami Kurii Mszę św. przy grobie Chrystusa. Cóż można po tym wszystkim powiedzieć? Ta podróż była wielkim, bardzo wielkim przeżyciem. Niewątpliwie najważniejszym

momentem tej pielgrzymki było zatrzymanie się na Kalwarii, górze ukrzyżowania i przy Grobie - tym Grobie, który był równocześnie miejscem zmartwychwstania. Moje myśli powracały do pierwszych wrażeń, jakie przeżywałem podczas pierwszej pielgrzymki do Ziemi Świętej. Napisałem wówczas:

„ Ach, miejsce na ziemi, miejsce ziemi świętej - jakimże miejscem jesteś we mnie! Dlatego właśnie nie mogę po tobie stąpać, muszę klęknąć. Przez to dzisiaj potwierdzam, że byłoś miejscem spotkania. Przyklękam - przez to wyciskam na tobie pieczęć. Zostaniesz tutaj z moją pieczęcią - zostaniesz, zostaniesz - a ja zabiorę ciebie i przeobrażę w sobie na miejsce nowego świadectwa. Odchodzę jako świadek, który świadczy poprzez tysiąclecia" {Pielgrzymka do Ziemi Świętej, 3. Tożsamość). Miejsce odkupienia! Mało powiedzieć: „Cieszę się, że tam byłem". Chodzi o coś więcej: o ślad wielkiego cierpienia, o ślad zbawczej śmierci, o ślad zmartwychwstania.

Abraham i Chrystus: „Oto idę pełnić Twoją wolę"

Pierwszeństwo wiary i płynąca z niej odwaga, kazała kiedyś każdemu z nas usłuchać wezwania Bożego, by wyruszyć w drogę, nie wiedząc, dokąd idzie (por. Hbr 11, 8). Te słowa autor Listu do Hebrajczyków wypowiada w związku z powołaniem Abrahama, ale odnoszą się one do każdego człowieczego powołania, także do szczególnego powołania, które realizuje się w posłudze biskupiej: powołania do pierwszeństwa w wierze i miłości. Zostaliśmy wybrani i powołani, abyśmy wyruszyli, a celu drogi nie wyznaczamy sobie sami. Wyznaczy go Ten, który nam kazał wyruszać: Bóg wierny, Bóg Przymierza.

Do Abrahama powróciłem niedawno w poetyckiej medytacji, której fragment pragnę przytoczyć:

„O Abrahamie - Ten, który wszedł w dzieje człowieka, pragnie tylko przez ciebie odsłonić tę tajemnicę

zakrytą od założenia świata, tajemnicę dawniejszą niż świat!

Jeśli dziś wędrujemy do tych miejsc,

z których kiedyś wyruszył Abraham,

gdzie usłyszał Głos, gdzie spełniła się obietnica,

to dlatego,

by stanąć na progu -

by dotrzeć do początku Przymierza".

(Tryptyk rzymski: Wzgórze w krainie Moria)

Chciałbym i w tej medytacji o powołaniu biskupim powrócić do Abrahama, który jest naszym ojcem w wierze, a w szczególności do tajemnicy jego spotkania z Chrystusem Zbawicielem, który według ciała jest synem Abrahama (por. Mt 1, 1), ale równocześnie istnieje zanim Abraham stał się (por. J 8, 58). Z tego

spotkania pada światło na tajemnicę naszego powołania w wierze, a nade wszystko naszej odpowiedzialności i odwagi koniecznej, by na nie odpowiedzieć. Można powiedzieć, że jest to podwójna tajemnica. Przede wszystkim jest to tajemnica pamięci o tym, co z miłości Bożej już stało się w ludzkich dziejach. Zarazem jest to tajemnica przyszłości, a to znaczy nadziei: tajemnica progę, który każdy z nas ma przekroczyć na mocy tego samego wezwania, wspierany wiarą, która nie cofa się przed niczym, bo wie, komu uwierzyliśmy (por. 2 Tm 1, 12). W tej tajemnicy łączy się zatem wszystko, co było od początku, co było przed założeniem świata, i to, co jeszcze ma być. Wiara, odpowiedzialność i odwaga każdego z nas zostaje w ten sposób wpisana w tajemnicę wypełnienia Bożego planu. Wiara, odpowiedzialność i odwaga każdego z nas okazuje się potrzebna, by mógł się w całej okazałości ukazać dar Chrystusa dla świata. Nie tylko taka wiara, która strzeże w pamięci nienaruszonego skarbu Bożych tajemnic, ale taka, która ma odwagę wciąż na nowy sposób otwierać i odkrywać ten skarb przed ludźmi, do których Chrystus posyła swoich uczniów.

I nie tylko taka odpowiedzialność, która ogranicza się do strzeżenia tego, co jej powierzono, ale taka, która ma odwagę pomnażać talenty (por. Mt 25, 14-30).

Począwszy od Abrahama wiara każdego z jego synów oznacza ustawiczne przekraczanie tego, co drogie, własne, dobrze znane, aby otwierać się na przestrzeń nieznanego, opierając się na wspólnej prawdzie i wspólnej przyszłości nas wszystkich w Bogu. Wszyscy jesteśmy zaproszeni do udziału w tym procesie przekraczania znanego, najbliższego kręgu; jesteśmy zaproszeni do zwrócenia się ku temu Bogu, który w Jezusie Chrystusie sam przekroczył siebie, zburzył rozdziałający nas mur - wrogość (por. Ef 2, 14), aby nas przyprowadzić ku sobie przez Krzyż.

Jezus Chrystus to znaczy: wierność wezwaniu Ojca, serce otwarte dla każdego spotkanego człowieka, taka wędrówka, że nie ma gdzie „głowy oprzeć” (por. Mt 8, 20), a w końcu Krzyż, a przezeń osiąga się zwycięstwo zmartwychwstania. To właśnie jest Chrystus, Ten, który bez obawy idzie i nie pozwala się zatrzymać, aż się wszystko wypełni, aż wstąpi do Ojca swojego i naszego (por. J 20, 17), Ten, który jest ten sam wczoraj i dziś, i na wieki (por. Hbr 13, 8).

Wiara w Niego jest więc nieustannym otwieraniem się człowieka na nieustanne wkraczanie Boga w ludzki świat, jest wychodzeniem człowieka ku Bogu, temu Bogu, który ze swej strony prowadzi ludzi wzajemnie ku sobie. W ten sposób staje się, że wszystko, co własne, należy teraz do wszystkich, a wszystko, co innych staje się zarazem także moim własnym. Taka jest treść słów, jakie ojciec kieruje do starszego brata marnotrawnego syna: „Wszystko, co moje, do ciebie należy” (Łk 15, 31). Jest to znaczące, że powracają one w modlitwie arcykapłańskiej Jezusa jako słowa Syna zwrócone do Ojca: „Wszystko bowiem moje jest Twoje, a Twoje jest moje” (J 17, 10).

Kiedy zbliża się Jego godzina (por. J 7, 30; 8, 20; 13, 1), Chrystus sam mówi o Abrahamie w słowach budzących zaskoczenie i zdziwienie Jego słuchaczy: „Abraham, ojciec wasz, rozradował się z tego, że ujrzał mój dzień - ujrzał [go] i

ucieszył się" (J 8, 56). Co jest źródłem rozradowania Abrahama? Czyż nie jest nim przewidywanie miłości i odwagi, z jaką ten jego syn według ciała, a nasz Pan i Zbawiciel, idzie, aby wypełnić do końca wolę Ojca (por. Hbr 10,9)? To właśnie w wydarzeniach Męki Pańskiej znajdujemy najbardziej przejmujące odniesienie do tajemnicy Abrahama, który powodowany wiarą pozostawia swoje miasto i swoją ojczyznę i wyrusza w nieznane, a nade wszystko Abrahama, który z drżącym sercem prowadzi swojego tak bardzo oczekiwanego i umiłowanego syna na górę Moria, by złożyć go w ofierze.

Gdy nadeszła „Jego godzina”, Jezus mówi do tych, którzy z Nim byli w ogrodzie Getsemani - do Piotra, Jakuba i Jana, najbliższych, szczególnie wybranych i umiłowanych Uczniów: „Wstańcie, chodźmy!” (por. Mk 14, 42). Nie tylko On sam ma „pójść” ku wypełnieniu tego, co zamierzył Ojciec, ale również oni z Nim.

To wezwanie - „Wstańcie, chodźmy!” - jest w sposób szczególny skierowane do nas biskupów, Jego wybranych przyjaciół. Nawet jeśli te słowa oznaczają czas próby, wielki wysiłek i bolesny krzyż, nie musimy się niczego obawiać. Słowa te niosą bowiem w sobie także radość i pokój, które są owocem wiary. W innych okolicznościach, do tych samych trzech uczniów Jezus tak ujął zaproszenie: „Wstańcie, nie lękajcie się!” (Mt 17, 7). Boża miłość nie nakłada na nas ciężarów, których nie moglibyśmy unieść, ani nie stawia nam wymagań, którym nie moglibyśmy sprostać. Jeśli wzywa, przychodzi z konieczną pomocą.

Mówię o tym z tego miejsca, do którego doprowadziła mnie miłość Chrystusa Zbawiciela, wymagając, abym wyszedł z mojej ziemi i gdzie indziej, dzięki Jego łasce, przynosił owoc - owoc, który ma trwać (por. J 15, 16). Powtarzając słowa naszego Mistrza i Pana, i ja kieruję do każdego z was, drodzy Bracia w episkopacie, wezwanie: „Wstańcie, chodźmy!” Chodźmy ufni w Chrystusie. On będzie towarzyszył nam w drodze, aż do celu, który zna tylko On.

Spis treści:

Wstęp.....	1
Część I.....	2
Źródło powołania.....	2
Wezwanie	3
Następca Apostołów	6
Wawel.....	7
Dzień konsekracji: Pośrodku Kościoła	9
Konsekratorzy.....	11
Gesty liturgii konsekracji.....	12
Krzyżmo	13
Pierścień i racjonal.....	14
„Strzeż depozytu" (1 Tm 6, 20)	15
Mitra i pastorał.....	16
Pielgrzymka do sanktuarium Maryi.....	19
Część II.....	23
Biskupie zadania.....	23
Pasterz.....	24
„Znam owce moje" (J 10, 14)	25
Sprawowanie sakramentów	26
Wizytacje duszpasterskie.....	28
Walka o kościół	30
Część III	32
Wydział Teologiczny w kontekście innych wydziałów uniwersyteckich.....	32
Biskup i świat kultury	32
Książki i studium	33
Dzieci i młodzież	35
Katecheza.....	38
Caritas	39
Część IV	41
Współpraca ze świeckimi	41
Współpraca z zakonami	42
Prezbiterium.....	44
Dom biskupi.....	46
Ojcostwo na wzór św. Józefa.....	48
Być ze swoim ludem.....	51
Kaplica przy Franciszkańskiej 3	51
Część V	53
Biskup w diecezji.....	53
Paliusz.....	53
Biskup w swoim Kościele lokalnym.....	54
Kolegialność	55
Ojcowie soborowi.....	57
Kolegium kardynalskie	58
Synody	59
Rekolekcje dla Kurii za pontyfikatu Pawła VI	60
Realizacja Soboru	61
Polscy biskupi	63
Część VI.....	65
Mężni w wierze.....	65
Święci i krakowscy	66
Martyres - Męczennicy	67
Św. Stanisław.....	68
Ziemia Święta	70
Abraham i Chrystus: „Oto idę pełnić Twoją wolę"	71